

Koleosza

N.4
1,20 zł.



CZYTELNICZKI NASZE

prosimy, by żądały pism kobiecych
we wszystkich kawiarniach, cukier-
niach, restauracjach, czytelniach it.d.

KATAR, GRYPA, SZYBKO MINIE
PO BAYERA ASPIRINIE.



ASPIRIN

Do nabycia we wszystkich aptekach.

Chcesz być przyjacielem swojej córki?

z a p r e n u m e r u j j e j

„Świat Dziewcząt”

Ukazuje się 1-go, 10-go i 20-go każdego miesiąca
i kosztuje w prenumeracie kwartalnej 3 zł. 50 gr.,
półrocznej 6 zł., rocznej 12 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Solec 87
i plac Zamkowy 9.

Egzemplarze pojedyncze są **do nabycia we
wszystkich kioskach z czasopismami.**

Konto P.K.O. 18.800.

EGZEMPLARZE OKAZOWE wysyła Admini-
stracja po otrzymaniu znaczka pocztowego
za 30 gr.

Dla **ochrony** przed **grypą**
zapaleniem gardła i zaziębieniem
używaj



Do nabycia we wszystkich aptekach.

Prenumerujcie

Czasopisma

Kobiece

Bliscy

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY

NIE UMIEM SIĘ ROZPYCHAĆ

Towarzyszy tym słowom gest obrażonej godności, niezmiennie wzruszenie ramion, oraz wyraz twarzy, znamionujący oburzenie na samą myśl owego ewentualnego „rozpychania“.

„Urodzeni w niewoli, okuci w powiciu“, jak się to często ze szlachetnym patosem powtarza, jesteśmy właśnie stale nastawieni na górny ton, a raczej niewinnie zakłamani w przeróżnych realnych, konkretnych, życiowych sprawach.

Taką niesłychanie życiową sprawą jest właśnie konieczność owego „rozpychania się“ w dzisiejszych czasach i zwłaszcza przy dzisiejszej koniunkturze.

Bo cóż to jest owo „rozpychanie się“, tak ironicznie i niesprawiedliwie, a raczej nieściśle nazwane?

I czy wogóle jest „rozpychanie się“, a więc potracanie, czy nawet łamanie kości innym, przy starcie w wyścigu pracy, celem osiągnięcia możliwie najpomyślniejszych rezultatów?

Właśnie.

Najwyższy czas postawić to pytanie, bo doprawdy spotykana u tylu wartościowych ludzi owa ewangeliczna, katechizmowa skromność zaczyna grozić pewnym, niebylejakim niebezpieczeństwem.

Nie im, ale sprawom ogólnym.

Postaram się to udowodnić.

Zdolni, wartościowi ludzie płci obojga, obarczeni cechą przewrażliwienia właśnie na punkcie praktycznego zastosowania swoich możliwości twórczych, usuwają się w cień. Wolą nawet „przymierać głodem“ (jeszcze i ta poezja), aniżeli starać się o coś dla siebie, przypomnieć o sobie, zażądać kategorycznie czegoś dla siebie.

Odpowiedniej pracy, stanowiska, godności. — Horror!

Dla siebie? Oni sami? Nigdy w życiu. „Wolę“ to pozostawić innym. „Niech inni się o to starają“. „Nie jestem karjerowiczem“, no i oczywiście to najbardziej typowe: „nie umiem się rozpychać“.

Doprawdy gniew ogarnia na podobne stawianie sprawy. Jakaś indolencja, jakieś wręcz lubowanie się w roli jagnięcia, czy zgoła barana, z pozostawieniem wolnego pola wilkom, pożerającym owych pseudoidealistów i wątpliwych romantyków nawet bez takiego ustępliwego stanowiska z ich strony.

Rozpatrzmy pokolei owe charakterystyczne, bezargumentowe „powiedzenia, świadczące o „idealizmie“ ludzi, nie umiejących się rozpychać.

A więc: „Wolę to pozostawić innym“.—Co mianowicie? Oczywiście starania o stanowisko, czy placówkę, na której mógłbym, czy mogłabym dokonać mądrej, pożytecznej pracy dla ogólnego dobra.

Ci „inni“, to najczęściej ci, którzy właśnie świetnie posiadają sztukę rozpychania się, ale nic więcej ponadto. Ci umieją doskonale korzystać z pseudowielkości (czytaj niedołęstwa) skromnych fiołków i pchają się na coraz wyższe szczyble, wykorzystując pracę, wiadomości innych, zbierając laury, zaszczyty, honory i t. d.

I trudno się dziwić, że osiągają swój cel. Często stokrój nawet wtedy, gdy są zdecydowanymi mierzotami.

Bo przecież ci, którzy zajmują stanowiska kierownicze, najczęściej nie mają czasu na poszukiwanie, na wynajdywanie odpowiednich ludzi, skoro ci z obawy najlżejszego podejrzenia o karjerowiczostwo skwapliwie się sami usuwają.

Życie jest zbyt skomplikowane, skoro niema wyboru, bierze się tych, którzy są pod ręką i sami

idą, dla maruderów niema miejsca. I na subtelności niema czasu.

Bardzo niedawno ktoś moźny tego świata wyraźnie oświadczył: „ludzie muszą sami o sobie przypominać, zwłaszcza kiedy mają do tego wszelkie prawa“. Czasy śpiących królewiczów minęły bezpowrotnie, a Pismo Święte wyraźnie, już wiele setek lat temu, potępiło tych, co „zakopują talenty w ziemię“.

Czyż nie zakopują talentów, czyż nie są raczej szkodnikami, owi abstynenci, zdolni, twórczy ludzie, co pozwalają, że wskutek ich indolencji zastępują ich w pracy, w działalności miernoty z tu-petem?

Przecież to żaden idealizm, żaden romantyzm, raczej egoizm, wyrażający się w tej fałszywej ambicji... nie „schylenia, broń Boże, karku“, przed nikim.

I czyż naprawdę droga, jeżeli nawet przebojem, ale prosto, bez podstęp*u* i, na miłość Boską, bez żadnego jakieg*o*s łamania kości — to karjerowiczowstwo?

A może tylko przypadkiem, poprostu robienie kariery, to znaczy zdobywanie uznania przez pracę i wartości osobiste?

Więc to jest coś żenującego, coś, co obniża wartość człowieka, że chce zbierać owoce swojej pracy i dojść do czegoś w życiu? Przecież tu zachodzi jakieś niesłychane pomieszanie pojęć, jakieś doprawdy ponure nieporozumienie. Ciągłe widać pokutując nie wytrzymujący najłżejszej krytyki pogląd, że synonimem idealizmu jest właśnie ubóstwo, że ktoś, kto dąży do słusznie zapracowanego, zasłużonego dobrobytu, ktoś, kto pragnie być odpowiednim człowiekiem na odpowiednim miejscu, to właśnie karjerowicz.

A już szczytem wszystkiego jest to, że właśnie schodzi się z drogi i kto wie, czy nie staje na baczność właśnie przed typowymi karjerowiczami w zwykłym, utartym tego słowa znaczeniu.

Utrąca się w ten sposób przecież tak często powodzenie samej sprawy.

Na każdym odcinku, czy to pracy zawodowej, czy społecznej, czasem nawet naukowej, spotykamy się ze zjawiskiem grzesznej nieśmiałości pewnych ludzi.

To ktoś w rodzaju „wstydzających się żebrać“, utożsamiających prawo domagania się należytego im miejsca w szeregu właśnie z żebraniną... niekiedy.

Przy rozważaniu tych spraw przypominają się słowa niedawno zmarłej, wybitnej literatki, która, zastanawiając się nad faktem supremacji zła na tym najlepszym ze światów, jako jedną z przyczyn tego wymieniała właśnie brak „aniołów wojujących“ w przeciwieństwie do nadmiaru szatanów.

Ale nie chodzi mi o typy ostateczne, o superla-

tywy pozytywne, czy negatywne. Chodzi raczej o codzienność, tak często złą, tak często nieudaną właśnie dlatego, że tkwimy ciągle jeszcze w pewnych zakłamaniach odziedziczonych, branych z dobrodziejstwem inwentarza.

Przy nadmiernej, chorej nieomal ambicji z jednej strony, godzimy się dobrowolnie na rolę ubogich krewnych w życiu, rolę upokarzającą; objawiamy typowe lenistwo duchowe, nie siląc się wcale na rewizję pewnych, utartych pojęć. Mam tu na myśli to rzekome „karjerowiczostwo“, utożsamiane z pragnieniem zrobienia kariery.

A to bynajmniej nie to samo.

Ludzie z typu karjerowiczów nie przebierają w środkach, nie liczą się z nikim i z niczem, nie mają cienia poczucia odpowiedzialności, są niekiedy zera*m*i, uważając się za genjuszów, są głusi i ślepi na wszystko, oprócz własnego interesu. Przekonani o swem absolutnem „prawie“ do spychania w dół wszystkich, którzy im stoją na drodze, dążą do celu... z „hardo podniesioną głową“.

Są karjerowicze innego typu, powiedziałabym karjerowicze dodatni...

Tym także idzie tylko o własne korzyści, ale ci mają jednocześnie ambicję dokonania czegoś, „wykazania się czemś“.

Pobudki są natury późniejszej, rezultaty jednak pokrywają do pewnego stopnia te braki i saldo wygląda, jako korzyść dla sprawy ogólnej i dla społeczeństwa.

Jeżeli jednak ludzie pragną osiągnąć pewien konkretny „ziemski“ cel w życiu, wiedząc, że są jednocześnie właściwymi ludźmi na właściwym miejscu, to o co chodzi?

Czyż to nie jest wówczas ich prostym, najelementarniejszym obowiązkiem dążyć do tego wszystkimi siłami, wszystkimi dopuszczalnymi środkami robić... właśnie tak pojętą karierę?

Ale „nie lubię się rozpychać“. I kropka.

Ćelują w tej cnocie ludzi ubogich duchem, w cnocie prostaczek*o*w kobiety. Te się zawsze... poświęcają. Te... brzydzą się walką. Te godzą się z „anielskim uśmiechem“ na to, aby być odskocznią dla innych. Te bez zastanowienia oddają najlepszą sprawę w niepowołane, ale silne, mocne łapska, pardon! kobiece... ręce karjerowiczów rodzaju żeńskiego.

Kończę. Wnioski wypowiedziałam w toku niniejszych rozważań. Jedno tylko maleńkie jeszcze przypomnienie, jako finał ostateczny: świat wygląda tak dlatego, że „anioły wojujące“ to pojęcie abstrakcyjne; świat wygląda tak dlatego, że, potępiając sposoby walki djabłów, djablic, czy poprostu zwykłych djabłatek, nie czynimy żadnego wysiłku, aby odebrać im miecz, bo... nie lubimy się rozpychać!

Janina Strzelecka,

JAK BYĆ SZCZĘŚLIWYM W MAŁŻEŃSTWIE?

2

TOWARZYSZ PODRÓŻY.

Co tu gadać, jedziemy wszyscy na wielkiej kuli w podróż po Wszechświecie: „Raid w nieznanne, z wiadomą stacją końcową“.

Samemu jechać, z początku zabawnie, ale podobnie, jak na okręcie, po pewnym czasie samotność i rozmówki ze samym sobą zaczynają być pozbawione soli i pieprzu. Rozglądamy się wówczas za towarzyszem, a kiedy go znajdziemy, podróż zaczyna nabierać dla nas zupełnie nowego uroku.

Jest komu powiedzieć np.: „o mewy“!, pokazać komuś zachód słońca (który tamten widzi zresztą równie dobrze, jak my). Potem idzie się razem na obiad, który w towarzystwie też zupełnie inaczej smakuje.

Gdy towarzysz podróży okaże się wyjątkowo miłym kompanem, mamy ochotę, żeby nas nigdy nie opuścił, żeby z nami poszedł wszędzie (nie na koniec świata, bo takowy nie istnieje), ale na koniec korytarza, do naszej kajuty.

Zupełnie tak samo jest w życiu, samemu żyć, bardzo miło i swobodnie, ale do czasu, z biegiem lat robi się zimno i smutno. Rodzina własna, matka, ojciec, rodzeństwo, to nie to, naogół kwaśno i krytycznie do człowieka ustosunkowana, nie daje mu potrzebnego do życia ciepła.

Instykt jechania na kuli ziemskiej we dwójkę jest tak silny, że nieraz słyszy się młodych ludzi, wrogo naogół do małżeństw usposobionych, którym się wyrwie powiedzenie w rodzaju: „Jak to smutno wracać wieczorem do pustego mieszkania, gdzie nikt się do człowieka nie ucieszy, gdzie niema z kim pogadać“...

Przypomnijmy sobie także, jak strasznie jest chorować samemu, jak bardzo blisko (jest się wówczas „Tamtego świata“, nawet gdy się choruje tylko na zwyczajną grypę. Kto nie chorował tak nigdy, sam na sam ze sobą, nie wie, co to za tragedia i jak bardzo potrzeba wówczas nie kogoś, którego się zna od dziecka (mamy przerażonej i jęczącej, znudzonej siostry, ect.), ale właśnie takiego sympatycznego towarzysza podróży, który położy rękę na głowie, i zamiast pogarszać stan chorego ponurym nastrojem, opowie dla rozweselenia jakiś „nowy kawał“, który się zwykle zna oddawna, ale który znów wprowadzi człowieka en plein w ten świat znajomy, stary, erotyczny i niepozbawiony humoru.

W tem wszystkim, oczywiście, jest dużo marzycielstwa, bo ów upragniony towarzysz podróży, gdy się jest chorym, bywa często nieznośnym, znudzonym i ucieka z domu. Towarzyszka podróży wita zapóźnionego męża (który tak marzył kiedyś o tem, żeby, wróciwszy do domu, „mieć z kim pogadać“) taką Niagarą nieprzyjemnych słów, że mu „pogawędka“ zbrzydnie na długo. Mimo to jednak, życie bez towarzysza podróży jest dużo groźniejsze i bar-

dziej ponure, niż we dwoje, o czem zresztą wiedzą dobrze wszyscy ci, którzy bez oczywistego powodu, poprostu „dla towarzystwa“ żenią się, lub wychodzą zamaż.

JAK SIĘ NALEŻY ZACHOWYWAĆ PODCZAS TEJ WSPÓLNEJ PODRÓŻY PRZEZ ŻYCIE?

Shaw powiedział: „że nie urodził się jeszcze ten, któryby był naprawdę wart kochania“. Może w tem powiedzeniu jest i dużo prawdy, ale Shaw, jako świetnie zasuszony staruszek, zapomniał, że zmysły to gusła i czary, które rozkazują nam kochać całkiem czasem niewartego miłości osobnika.

Nieraz, będąc na jakimś ślubie, widzimy rozanieloną twarz panny młodej, uśmiechającej się miłostnie do swojego całkiem nieatraktywnego pana młodego; ma się ochotę zawołać wówczas, jak ów guslarz w „Dziadach“, „Czegóż uśmiechasz się, czego? co w nim widzisz wesołego?“ Zmysły nakładają nam na oczy różowe okulary, przez które przyszie życie z ukochanym, lub ukochaną wydaje nam się też różowe.

Odświętne stroje państwa młodych (niewiadomo, dlaczego tak bardzo galowe?) mamia, że życie tych państwa będzie czemś w rodzaju: „Teatr i życie wytworne“. Ale któż może wytrzymać, żeby być dla drugiego takim „Szczęściem“.

Mąż wraca powoli do swoich nawyczek, przeciąga się, ziewa, pali cygaro, chodzi po domu w pantoflach, wieczorem ucieka do swojego klubu. Żona smaruje twarz na noc kremem tak, że wygląda jak jakaś „córka króla szmalcu“, nakręca włosy na papierki, pokazuje się mężowi w przydeptanem, starem kimonie, bo któżby tam się krępował ze swoją „drugą połową“ (to utarte określenie napewno narobiło w małżeństwach dużo szkód). Urocza, biała dama z fotografii poślubnej chowa koronkową bieliznę do szafy, na jakąś „specjalną czarną godzinę“.

Ślubny cuduś we fraku, położywszy się do łóżka, zasypia bezkarnie jak długi, rano mosi na głowie czarną siatkę, z pod której wystają mu uszy, jak u nietoperza i mówi, że go coś boli. Szwendą się po wspólnej sypialni, z bezwstydem maminego synka, w swoich czarujących męskich kombinacjach, w których wygląda, jak nieudany tyrolczyk, z kolanami na wierzchu...

Żeby to wszystko, ta cała bezkarna bezzenada małżeńska, nie popsulo uczucia, potrzeba wielkiej, obustronnej wyrozumiałości i jakiegoś ciągłego rozczulania się nad tym drugim, co się tak często zdarza u kochanków, kiedy, patrząc się naprzykład na śpiącego, nieogolonego przyjaciela, myśli się: „kochanie moje, jak to potrafi czasem paskudnie wyglądać“...

Probierzem tego uczucia, polegającego nie na jakiejś wścieklej „passion“, ale na bezbrzeżnym lu-

CZYTELNICZKI NASZE

*prosimy, by żądały pism kobiecych
we wszystkich kawiarniach, cukier-
niach, restauracjach, czytelniach it.d.*

KATAR, GRYPA, SZYBKO MINIE
PO BAYERA ASPIRINIE.



ASPIRIN

Do nabycia we wszystkich aptekach.

**Chcesz być przyjacielem
swojej córki?**

z a p r e n u m e r u j j e j

„Świat Dziewcząt”

Ukazuje się 1-go, 10-go i 20-go każdego miesiąca
i kosztuje w prenumeracie kwartalnej 3 zł. 50 gr.,
półrocznej 6 zł., rocznej 12 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Solec 87
i plac Zamkowy 9.

Egzemplarze pojedyncze są **do nabycia we
wszystkich kioskach z czasopismami.**

Konto P.K.O. 18.800.

**EGZEMPLARZE OKAZOWE wysyła Admini-
stracja po otrzymaniu znaczka pocztowego
za 30 gr.**

*Dla ochrony przed grypa
zapaleniem gardła i zaziębieniem
używaj*



Do nabycia we wszystkich aptekach.

Prenumerujcie
Czasopisma
Kobiece

BLISKO

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY

NIE UMIEM SIĘ ROZPYCHAĆ

Towarzyszy tym słowom gest obrażonej godności, niezmiennie wzruszenie ramion, oraz wyraz twarzy, znamionujący oburzenie na samą myśl owego ewentualnego „rozpychania“.

„Urodzeni w niewoli, okuci w powiciu“, jak się to często ze szlachetnym patosem powtarza, jesteśmy właśnie stale nastawieni na górny ton, a raczej niewinnie zakłamanym w przeróżnych realnych, konkretnych, życiowych sprawach.

Taką niesłychanie życiową sprawą jest właśnie konieczność owego „rozpychania się“ w dzisiejszych czasach i zwłaszcza przy dzisiejszej konjunkturze.

Bo cóż to jest owo „rozpychanie się“, tak ironicznie i niesprawiedliwie, a raczej nieściśle nazwane?

I czy wogóle jest „rozpychanie się“, a więc potracanie, czy nawet łamanie kości innym, przy starcie w wyścigu pracy, celem osiągnięcia możliwie najpomyślniejszych rezultatów?

Właśnie.

Najwyższy czas postawić to pytanie, bo doprawdy spotykana u tylu wartościowych ludzi owa ewangeliczna, katechizmowa skromność zaczyna grozić pewnym, niebylejakim niebezpieczeństwem.

Nie im, ale sprawom ogólnym.

Postaram się to udowodnić.

Zdolni, wartościowi ludzie płci obojga, obarczeni cechą przewrażliwienia właśnie na punkcie praktycznego zastosowania swoich możliwości twórczych, usuwają się w cień. Wolą nawet „przymierać głodem“ (jeszcze i ta poezja), aniżeli starać się o coś dla siebie, przypomnieć o sobie, zażądać kategorycznie czegoś dla siebie.

Odpowiedniej pracy, stanowiska, godności. — Horror!

Dla siebie? Oni sami? Nigdy w życiu. „Wolę“ to pozostawić innym. „Niech inni się o to starają“. „Nie jestem karjerowiczem“, no i oczywiście to najbardziej typowe: „nie umiem się rozpychać“.

Doprawdy gniew ogarnia na podobne stawianie sprawy. Jakaś indolencja, jakieś wręcz lubowanie się w roli jagnięcia, czy zgoła barana, z pozostawieniem wolnego pola wilkom, pożerającym owych pseudoidealistów i wątpliwych romantyków nawet bez takiego ustępliwego stanowiska z ich strony.

Rozpatrzmy pokolei owe charakterystyczne, bezargumentowe „powiedzenia, świadczące o „idealizmie“ ludzi, nie umiejących się rozpychać.

A więc: „Wolę to pozostawić innym“.—Co mianowicie? Oczywiście starania o stanowisko, czy placówkę, na której mógłbym, czy mogłabym dokonać mądrej, pożytecznej pracy dla ogólnego dobra.

Ci „inni“, to najczęściej ci, którzy właśnie świetnie posiadają sztukę rozpychania się, ale nic więcej ponadto. Ci umieją doskonale korzystać z pseudowielkości (czytaj niedołęstwa) skromnych fiołków i pchają się na coraz wyższe szczeble, wykorzystując pracę, wiadomości innych, zbierając laury, zaszczyty, honory i t. d.

I trudno się dziwić, że osiągają swój cel. Często stokroć nawet wtedy, gdy są zdecydowanymi mieronotami.

Bo przecież ci, którzy zajmują stanowiska kierownicze, najczęściej nie mają czasu na poszukiwanie, na wynajdywanie odpowiednich ludzi, skoro ci z obawy najlżejszego podejrzenia o karjerowiczostwo skwapliwie się sami usuwają.

Życie jest zbyt skomplikowane, skoro niema wyboru, bierze się tych, którzy są pod ręką i sami

idą, dla maruderów niema miejsca. I na subtelności niema czasu.

Bardzo niedawno ktoś możny tego świata wyraźnie oświadczył: „ludzie muszą sami o sobie przypominać, zwłaszcza kiedy mają do tego wszelkie prawa“. Casy śpiących królewiczów minęły bezpowrotnie, a Pismo Święte wyraźnie, już wiele setek lat temu, potępiło tych, co „zakopują talenty w ziemię“.

Czyż nie zakopują talentów, czyż nie są raczej szkodnikami, owi abstynenci, zdolni, twórczy ludzie, co pozwalają, że wskutek ich indolencji zastępują ich w pracy, w działalności miernoty z tu-petem?

Przecież to żaden idealizm, żaden romantyzm, raczej egoizm, wyrażający się w tej fałszywej ambicji... nie „schylenia, broń Boże, karku“, przed nikim.

I czyż naprawdę droga, jeżeli nawet przebojem, ale prosto, bez podstępów i, na miłość Boską, bez żadnego jakiegos łamania kości — to karjerowiczostwo?

A może tylko przypadkiem, poprostu robienie karjery, to znaczy zdobywanie uznania przez pracę i wartości osobiste?

Więc to jest coś żenującego, coś, co obniża wartość człowieka, że chce zbierać owoce swojej pracy i dojść do czegoś w życiu? Przecież tu zachodzi jakieś niesłychane pomieszanie pojęć, jakieś doprawdy ponure nieporozumienie. Ciągłe widać pokutując nie wytrzymujący najłżejszej krytyki poglądy, że synonimem idealizmu jest właśnie ubóstwo, że ktoś, kto dąży do słusznie zapracowanego, zasłużonego dobrobytu, ktoś, kto pragnie być odpowiednim człowiekiem na odpowiednim miejscu, to właśnie karjerowicz.

A już szczytem wszystkiego jest to, że właśnie schodzi się z drogi i kto wie, czy nie staje na baczność właśnie przed typowymi karjerowiczami w zwykłym, utartym tego słowa znaczeniu.

Utrąca się w ten sposób przecież tak często powodzenie samej sprawy.

Na każdym odcinku, czy to pracy zawodowej, czy społecznej, czasem nawet naukowej, spotykamy się ze zjawiskiem grzesznej nieśmiałości pewnych ludzi.

To ktoś w rodzaju „wstydzających się żebrac“, utożsamiających prawo domagania się należytego im miejsca w szeregu właśnie z żebranią... niekiedy.

Przy rozważaniu tych spraw przypominają się słowa niedawno zmarłej, wybitnej literatki, która, zastanawiając się nad faktem supremacji zła na tym najlepszym ze światów, jako jedną z przyczyn tego wymieniała właśnie brak „aniołów wojujących“ w przeciwieństwie do nadmiaru szatanów.

Ale nie chodzi mi o typy ostateczne, o superla-

tywy pozytywne, czy negatywne. Chodzi raczej o codzienność, tak często złą, tak często nieudaną właśnie dlatego, że tkwimy ciągle jeszcze w pewnych zakłamanach odziedziczonych, branych z dobrodziejstwem inwentarza.

Przy nadmiernej, chorej nieomal ambicji z jednej strony, godzimy się dobrowolnie na rolę ubogich krewnych w życiu, rolę upokarzającą; objawiamy typowe lenistwo duchowe, nie siląc się wcale na rewizję pewnych, utartych pojęć. Mam tu na myśli to rzekome „karjerowiczostwo“, utożsamiane z pragnieniem zrobienia karjery.

A to bynajmniej nie to samo.

Ludzie z typu karjerowiczów nie przebierają w środkach, nie liczą się z nikim i z niczem, nie mają cienia poczucia odpowiedzialności, są niekiedy zębami, uważając się za genjuszów, są głusi i ślepi na wszystko, oprócz własnego interesu. Przekonani o swym absolutnym „prawie“ do spychania w dół wszystkich, którzy im stoją na drodze, dążą do celu... z „hardo podniesioną głową“.

Są karjerowicze innego typu, powiedziałabym karjerowicze dodatni...

Tym także idzie tylko o własne korzyści, ale ci mają jednocześnie ambicję dokonania czegoś, „wykazania się czemś“.

Pobudki są natury późniejszej, rezultaty jednak pokrywają do pewnego stopnia te braki i saldo wygląda, jako korzyść dla sprawy ogólnej i dla społeczeństwa.

Jeżeli jednak ludzie pragną osiągnąć pewien konkretny „ziemski“ cel w życiu, wiedząc, że są jednocześnie właściwymi ludźmi na właściwym miejscu, to o co chodzi?

Czyż to nie jest wówczas ich prostym, najelementarniejszym obowiązkiem dążyć do tego wszystkimi siłami, wszystkimi dopuszczalnymi środkami robić... właśnie tak pojętą karierę?

Ale „nie lubię się rozpychać“. I kropka.

Ćelują w tej enocie ludzie ubogich duchem, w enocie prostaczek kobiety. Te się zawsze... poświęcają. Te... brzydzą się walką. Te godzą się z „anielskim uśmiechem“ na to, aby być odskocznią dla innych. Te bez zastanowienia oddają najlepszą sprawę w niepowołane, ale silne, mocne łapska, pardon! kobiece... ręce karjerowiczów rodzaju żeńskiego.

Kończę. Wnioski wypowiedziałam w toku niniejszych rozważań. Jedno tylko maleńkie jeszcze przypomnienie, jako finał ostateczny: świat wygląda tak dlatego, że „anioły wojujące“ to pojęcie abstrakcyjne; świat wygląda tak dlatego, że, potępiając sposoby walki djabłów, djablic, czy poprostu zwykłych djablatek, nie czynimy żadnego wysiłku, aby odebrać im miecz, bo... nie lubimy się rozpychać!

Janina Strzelecka,

JAK BYĆ SZCZĘŚLIWYM W MAŁŻEŃSTWIE?

2

TOWARZYSZ PODRÓŻY.

Co tu gadać, jedziemy wszyscy na wielkiej kuli w podróż po Wszechświecie: „Raid w nieznanne, z wiadomą stacją końcową“.

Samemu jechać, z początku zabawnie, ale podobnie, jak na okręcie, po pewnym czasie samotność i rozmówki ze samym sobą zaczynają być pozbawione soli i pieprzu. Rozglądamy się wówczas za towarzyszem, a kiedy go znajdziemy, podróż zaczyna nabierać dla nas zupełnie nowego uroku.

Jest komu powiedzieć np.: „o mewy“!, pokazać komuś zachód słońca (który tamten widzi zresztą równie dobrze, jak my). Potem idzie się razem na obiad, który w towarzystwie też zupełnie inaczej smakuje.

Gdy towarzysz podróży okaże się wyjątkowo miłym kompanem, mamy ochotę, żeby nas nigdy nie opuścił, żeby z nami poszedł wszędzie (nie na koniec świata, bo takowy nie istnieje), ale na koniec korytarza, do naszej kajuty.

Zupełnie tak samo jest w życiu, samemu żyć, bardzo miło i swobodnie, ale do czasu, z biegiem lat robi się zimno i smutno. Rodzina własna, matka, ojciec, rodzeństwo, to nie to, naogół kwaśno i krytycznie do człowieka ustosunkowana, nie daje mu potrzebnego do życia ciepła.

Instynkt jechania na kuli ziemskiej we dwójkę jest tak silny, że nieraz słyszy się młodych ludzi, wrogo naogół do małżeństw usposobionych, którym się wyrwie powiedzenie w rodzaju: „Jak to smutno wracać wieczorem do pustego mieszkania, gdzie nikt się do człowieka nie ucieszy, gdzie niema z kim pogadać“...

Przypomnijmy sobie także, jak strasznie jest chorować samemu, jak bardzo blisko jest się wówczas „Tamtego świata“, nawet gdy się choruje tylko na zwyczajną grypę. Kto nie chorował tak nigdy, sam na sam ze sobą, nie wie, co to za tragedia i jak bardzo potrzeba wówczas nie kogoś, którego się zna od dziecka (mamy przerażonej i jęczącej, znużonej siostry, ect.), ale właśnie takiego sympatycznego towarzysza podróży, który położy rękę na głowie, i zamiast pogarszać stan chorego ponurym nastrojem, opowie dla rozweselenia jakiś „nowy kawał“, który się zwykle zna oddawna, ale który znów wprowadzi człowieka en plein w ten świat znajomy, stary, erotyczny i niepozbawiony humorem.

W tem wszystkim, oczywiście, jest dużo marzycielstwa, bo ów upragniony towarzysz podróży, gdy się jest chorym, bywa często nieznośnym, znużonym i ucieka z domu. Towarzyszka podróży wita zapóźnionego męża (który tak marzył kiedyś o tem, żeby, wróciwszy do domu, „mieć z kim pogadać“) taką Niagarą nieprzyjemnych słów, że mu „pogawędka“ zbrzydnie na długo. Mimo to jednak, życie bez towarzysza podróży jest dużo groźniejsze i bar-

dziej ponure, niż we dwoje, o czem zresztą wiedzą dobrze wszyscy ci, którzy bez oczywistego powodu, poprostu „dla towarzystwa“ żenią się, lub wychodzą zamaż.

JAK SIĘ NALEŻY ZACHOWYWAĆ PODCZAS TEJ WSPÓLNEJ PODRÓŻY PRZEZ ŻYCIE?

Shaw powiedział: „że nie urodził się jeszcze ten, któryby był naprawdę wart kochania“. Może w tem powiedzeniu jest i dużo prawdy, ale Shaw, jako świetnie zasuszony staruszek, zapomniał, że zmysły to gusła i czary, które rozkazują nam kochać całkiem czasem niewartego miłości osobnika.

Nieraz, będąc na jakimś ślubie, widzimy rozanieloną twarz panny młodej, uśmiechającej się miłosnie do swojego całkiem nieatraktywnego pana młodego; ma się ochotę zawołać wówczas, jak ów guslarz w „Dziadach“, „Czegóż uśmiechasz się, czego? co w nim widzisz wesołego?“ Zmysły nakładają nam na oczy różowe okulary, przez które przysze życie z ukochanym, lub ukochaną wydaje nam się też różowe.

Odświętne stroje państwa młodych (niewiadomo, dlaczego tak bardzo galowe?) mamia, że życie tych państwa będzie czemś w rodzaju: „Teatr i życie wytworne“. Ale któż może wytrzymać, żeby być dla drugiego takim „Szczęściem“.

Mąż wraca powoli do swoich nawyczek, przeciąga się, ziewa, pali cygaro, chodzi po domu w pantoflach, wieczorem ucieka do swojego klubu. Żona smaruje twarz na noc kremem tak, że wygląda jak jakaś „córka króla szmalcu“, nakręca włosy na papierki, pokazuje się mężowi w przydeptanem, starem kimonie, bo któżby tam się krępował ze swoją „drugą połową“ (to utarte określenie napewno narobiło w małżeństwach dużo szkód). Uroczą, białą damę z fotografii poślubnej chowa koronkową bieliznę do szafy, na jakąś „specjalną czarną godzinę“.

Ślubny cuduś we fraku, położywszy się do łóżka, zasypia bezkarnie jak długi, rano nosi na głowie czarną siatkę, z pod której wystają mu uszy, jak u nietoperza i mówi, że go coś boli. Szwenda się po wspólnej sypialni, z bezwstydem maminego synka, w swoich czarujących męskich kombinacjach, w których wygląda, jak nieudany tyrolczyk, z kolanami na wierzchu...

Żeby to wszystko, ta cała bezkarna bezżenada małżeńska, nie popsuło uczucia, potrzeba wielkiej, obustronnej wyrozumiałości i jakiegoś ciągłego rozczulania się nad tym drugim, co się tak często zdarza u kochanków, kiedy, patrząc się naprzykład na śpiącego, nieogolonego przyjaciela, myśli się: „kochanie moje, jak to potrafi czasem paskudnie wyglądać“...

Probierzem tego uczucia, polegającego nie na jakiejś wścieklej „passion“, ale na bezbrzeżnym lu-

bieniu się, jest to, czy się lubi wszystkie przedmioty, należące do tego drugiego, czy też przeciwnie, wzbudzają one odrazę i niesmak. Ubranie męskie naprzykład, leżące na krześle we wspólnej sypialni, jakież rozczulenie budzi w kochającej kobiecie. Zachowuje ono jeszcze formy jego figury, wydęcie ulubionych mięśni i przyjemnie jest go się dotknąć.

W jednej ślicznej nowelce francuskiej mąż, którego żona porzuciła nazawsze, i który napozór przyjął to spokojnie, rozplakał się z żalu i tęsknoty dopiero, gdy po kilku tygodniach rozstania znalazł na dnie szafy zapomniane przez nią, różowe majteczki.

Ten człowiek kochał naprawdę, i czytelnik, przeczytawszy ten szczegół, jest głębiej o tem przekonany, niż gdyby autor zmusił owego męża do napisania do niej błagalnego i miłego listu.

Gdy się odczuwa żywą sympatję do przedmiotów tego drugiego, to wówczas nie istnieją tak zwane „obowiązki“. Wszystko jest przyjemnością i zabawą, czy przysycie guzika, czy, gdy się jest razem w podróży, wypranie jego chustek do nosa, wyprasowanie krawatki, etc...

O tem, czy się lubi danego człowieka „ze wszystkim“, z butami, koszulą i grzebieniem, można się już przekonać w narzeczeństwie, a gdy tak nie jest, nie daj Boże, wychodzić za niego zamąż, niechęć do przedmiotów narzeczonego przejdzie w jakiś czas później i na niego, a wówczas ze wspólnej podróży, która mogłaby być tak miłą, robi się jakaś ciężka przeprawa przez moczary i bagna, pełne żab i pijawek.

Mężczyźni czasem zupełnie fetyszowo lubią niektóre nasze suknie, i zawsze chcieliby nas w nich widzieć, nie zdając sobie sprawy, że owe suknie niszczą się, lub wychodzą z mody. Jeszcze w kilka lat po ślubie upomną się o nie.

— Czemu nigdy nie włożysz tej miłej, niebieskiej sukienki, w której cię poznałem?—powie kochający mąż (inna kwestja, że owa sukienka napewno nie była niebieska, tylko np. zielona, pamięci kolorystycznej nasz pan zwykle nie posiada) ale to nic nie szkodzi, i mądra żona powinna sobie sprawić podobną, choć zmodernizowaną, a mąż zareaguje na nią napewno atakiem odnowionej czułości.

Magdalena Samozwaniec.



Wioska pod śniegiem

(Fot. Poddębski).

POŻEGNANIE

Pożegnanie nasze było, jak przed burzą,
co ma nadejść i światło pokonać,
Mówiłeś mi roprost w usta gorąco i dużo,
ale nie dałam się przekonać.

EGOIŚCI

Jesteśmy, jak w akwarjum ryby,
które patrzą na świat przez szkło.
Jest nam obojętne dobro czyjeś i zło, —
od ludzi dzieli nas szyba.

KOCHANEK Z POMNIKA

2

1810—1836. Mój Boże, tak krótko żył i wystawili mu pomnik? Kto? Karol Macha. Zapewne poeta?

— Co on napisał, Edwardzie? Nie wiesz?

— Nie wiem.

Na zimę pojechaliśmy do Nicei, do słońca. Jak w czarną czeluść. Edward mówił coraz mniej. Cierpiał coraz więcej. Żył jeszcze pięć lat.

I w tym piątym roku zdarzyło się, co się musiało zdarzyć. Wielka wojna. I przemarsz wojsk także przez nasz folwarczek małuśki. Wtedy przyjechał do nas gość, który namawiał chłopców do legjonów. Pierwej o nim usłyszeliśmy. A potem go zobaczyliśmy. Edward gniewał się jeszcze przedtem, nim go zobaczył.

A kiedy gość stanął w słońcu, pod zielonem sklepieniem okwitłych bżów...

— Panie! Ja pana skądś znam! — wyrwało mi się. Wbrew woli. Bez świadomości. Odruchowo. Edward cisnął czarne, ciężkie wejrzenie.

— Znasz tego pana. O, znasz! Jechał już z nami pociągiem nocnym i wysiadł w Bratisławie. Mówił to z przykrym naciskiem. Rzecz złą, obelżywą.

Nieznamy uśmiechał się, kłaniał. Wymienił nazwisko. Lecz o swej podróży nocnej nie wspomniał nic a nic.

— Ależ nie, Edziu! Skądżeby? Ten pan podobny jest poprostu do Karola Machy!

— Do autora Maja, uważa łaska-wa pani? — dziwił się nieznamy.

Więc ten Karol Macha napisał jakiś Maj?

— Czy to takie piękne, panie, że mu aż wystawili pomnik? — gniewał się Edward, częstując gościa papierosem.

— Cóż, panie dobrodzieju, powiedzcie? Gusty zmieniają się z biegiem lat. Na owe czasy było to piękne:

„Zeszłego wieku dzieje, blask gwiazdy spadniętej, ślad błędnego ognika, woń róży zwiędniętej...”

— Pan jest zawodowym literatem? czy sławistą?

Nieznamy zawahał się. — Jestem nauczycielem.

Potem była kolacja i dużo polityki. Nazajutrz, o bladym przedświecie coś wyrzuciło mnie mocną ręką do ogrodu. Kazało iść w szpaler kwitnących róż.

Nie miałam sukni czarnej, ale, przeciwnie, białą. I nieznamy nie przemówił do mnie wierszem, ale prozą, gdy wychylił się ku mnie z głębi altanki:

— O, pani łaskawa też tak wcześniej wstaje?

— Nie... to tylko dziś. Zmieszałam się. Było przecież potwornem głupstwem tak powiedzieć.

— Czemu nie w czerni? — szepnął wtem nieznamy.

Serce tłukło mi lękiem niewypowiedzianym i słodkim.

— Pani nie wie? Miałem sen, raz, dzieckiem...

— O, wiem!

Cichutko mówił dalej:

— A pani naprawdę nie poznała mnie, ani wtedy, w pociągu... Ani dziś, towarzysza podróży... z przed lat?

— Ale pamiętałam pomnik!

— O, mniejsza.

Płoniłam się. Zakłaskał, jak na złość, ostatni słowik.

— Niedługo św. Wit, słowik cyt — zauważył nieznamy. — Pani przy-cina róże?

Wziął sobie na drogę różę purpurową i białą. I poszedł. Poobierałam starannie mszyce. Wróciłam, jak z pogrzebu. Edward spał jeszcze, rzecz szczególna. Spał tak długo, że wreszcie zaniepokoiłam się, coby to miało znaczyć? Spał na prawym boku, odwrócony do ściany. Widać umarł nocą, bo uszło już wszystko ciepło. Lewą stronę piersi zaległa ciemna plama. Najwykleszy rozryw serca, skutek dobrej tuszy i sklerozy.

Zdarzyło się to, przypadkiem, u progu dnia, odkąd Edward stał mi się wyraźnie bardzo niczem. A tak pilnie strzegłam się wszystkiego, co mogłoby mnie od niego oddalić! To wszystko przyszło wreszcie samo. Wleciało kominem, gdy drzwi i

okna szczelnie zamknięto. Wszystko. Sprzedałam folwarczek. Odszukałam Karola i żyłam z nim dwa lata słonecznego snu na jawie. Szczególnego snu: w trzasku pocisków, jęku rannych, którym służyłam narówni z nim. Bo Karol był wówczas w oddziale sanitarnym.

Potem uderzył w nasze baraki silny wróg: tyfus. Tego nikt nie zrozumie, kto nie leżał w barakach. Tam chorzy posługują braciom chorym i umarłym. Podaje się kolejką, z ust do ust, blaszankę wody, z trudem zdobytej. Krzyk: nie jedzcie, bo umrzecie! Zgłodnieli ozdrowieńcy wołają nalykać się sucharów... I umrzeć.

Kiedy cudem natrafiła na nas obca czołówka, mój Karol już nie żył.

Grób jego jest kędyś pod Kremieńczugiem i kwitną na nim wiosną bzy.

Tam nie jadę dzisiaj. Poco? Dźwięcznie toczą się koła.

Nie mogłam znaleźć nakładcy na jego wiersze. A byłam już całkiem biedna. — Romantyzm przebrzmiał, nowiadali mi wydawcy. Tak, lub maczej. Tylko jeden był szczerzy: — Te próby nie są dość dobre. Gdyby był dłużej żył, może...

Nie żył dłużej. Ani nie był Karolem Machą. Tylko moim Karolem. Pięknym, jak Maj, żywy i prawdziwy. Nie ten papierowy, co wychodzi z mody.

Wiosną jeżdżę zawsze do Pragi. To słuszniej, niż na grób. Tam uśmiecha się do mnie z pomnika. Pozdrowia kwitnącą gałęzią. To było tak dawno: mój sen, jego sen. Jedna noc w pociągu. I jeden świt u nas, w Róźance. Czy to wogóle wszystko było? Pocałunek drżących, spalonych warg na ustach. I który mnie nie zabił. Obfitość słonecznych włosów, popalonych gorączką. Głowa ciężka, u mnie, na sercu. Skamieniało razem z nią oddechem śmierci. Oddałam je ziemi, te włosy.

Nie oddałam jej tylko uśmiechu. Długie lata przemawia do mnie z wyżyn pomnika. To twój pomnik. I pomnik naszej miłości: Wszystko.

Zofja Reutt-Witkowska.



...Zgromadzili się licznie przyjaciele i krewni...

MARCHESINA

III. NIESZCZĘŚLIWY ŚLUB.

Madame Speranza Schwartz wzięła do ręki gazetę i o mało nie zemdląła, wyczytawszy, iż „dzisiaj, t. j. 24 stycznia 1860 r., odbędzie się w willi Fino Mor-nased ślub generała Garibaldi’ego z Marchesiną Giuseppiną Raimondi...

„Beatrice“ zawrzała gniewem. To była zdrada ze strony przyjaciela. Jak mógł powziąć tak ważną decyzję, nie poradziwszy się wprzód przyjaciółki, tak wiernej i oddanej, jak ona. Z nienawiścią pomyślała o „młodej intrygantce“, która usidliła bohatera urokiem swoich lat osiemnastu i wróżyła wszystko najgorsze na przyszłość. Niestety, rzeczywistość okazała się gorszą jeszcze od nieżyczliwych przepowiedni!

„W przededniu ślubu — opowiada Władysław Mickiewicz — w willi Raimondich zgromadzili się licznie przyjaciele i krewni, ale na wszystkich ciążyła jakaś niewyraźna troska. Nikt nie był wesół, jak to bywa na takich uroczystościach i nikt nie zdawał sobie sprawy: dlaczego?”

Zajęto się muzyką. Matka panny młodej, posiadająca przepyszny głos, zaśpiewała, śpiewały obydwie czarujące siostry panny młodej, jednak ich weselość pozorna nie zdołała udzielić się innym. Zaczęto tańczyć, ale i to nie sprowadziło weselości.

— Trzeba wierzyć przecuciom! *)

Panna młoda, śliczna w białym welonie na czarnych lokach, stanęła przed ołtarzem dziwnie blada

*) Władysław Mickiewicz w I-szym tomie swych „Pamiętników“ opowiada o swej wizycie w domu margrabiego Raimondi w lecie 1860 r. i przytacza również opowiadanie, które wówczas napisał po francusku i wydrukował w czasopiśmie „Esperance“, wychodzącym w Genewie, p. t.: „Przeznaczenie“. Była to ujęta w formę noweli relacja o dramacie małżeństwa Garibaldi’ego i Marchesiny.

i drżąca. Zdawało się, że czegoś oczekuje jeszcze, że się czegoś spodziewa, a może lęka? Po mszy zrobiło się jej słabo, odprowadzono ją do jej pokoi. Choroba, dopiero co przebyta, usprawiedliwiała zachowanie się Giuseppiny.

„Ale w kilka chwil potem — cytujemy znów Mickiewicza, gdyż relacja jego, spisana „na gorąco“, ma najwięcej cech autentyczności — przypadek sprawił, że do rąk generała dostał się list Ludwika (Carolego), adresowany do jego żony. List ten był tak namiętny, że generał uczuł się zdradzony“.

W ostatnich czasach z ust osób wiarogodnych słyszeliśmy, iż pismo to zawierało plan ucieczki, którą, jako jedyną drogę wyjścia z niemożliwej sytuacji, proponował Caroli Marchesinie w wigilję ślubu.

Złośliwość losu, czy ludzi, sprawiła, że list dostał się do rąk niepowołanych i to o kilka chwil zapóźno, kiedy już dwoje ludzi połączyło się z sobą nierozdzielalnym węzłem.

Nie wierząc oczom własnym, poskoczył Garibaldi do pokoju swej „żony“:

— Prawdaż to, co napisano w tym liście? — spytał gwałtownie.

Młoda kobieta stała się bielszą od swego welonu. Z rozpaczliwą determinacją szepnęła: — Tak.

* * *

Jaki skandal, jaki straszny skandal! Miasto i prowincja, a wnet i kraj cały i zagranica nawet trzęsły się z oburzenia na jedną stronę, współczucia dla drugiej, a wogóle wzruszał opinię niezdrówy dreszczyk sensacji. Pan młody w godzinę po ślubie, porzucający dom i okolicę. Panna młoda, „internowana“ przez zagniewanego ojca, znika bez wieści! Ten trzeci, na którego czyha zemsta rozwścieczonych garibaldeczyków,

przepada również, a matka jego rozchorowuje się śmiertelnie.

Najpotworniejsze plotki, najcięższe zarzuty spadają na młodą winowajczynię.

„Ci, co dotąd milczeli, zaczęli mówić“. Najwięcej i najzjadliwiej mówił kuzyn Raimondich, major Borelli, na którym ciąży brzydkie podejrzenie, iż on to właśnie był denuncjatorem, mszcząc się, być może, za odtrącenie ze strony Giuseppiny?

Garibaldi, po pierwszym wybuchu, który przeraził obecnych, zamknął się w milczeniu. „Nigdy już i z nikim o tej sprawie nie mówić“. Może w głębi duszy uznał, że zawód, jaki go spotkał, był karą za błąd popełniony, za zbyt wczesne zapomnienie Anity? Po siracie takiej towarzyszkii, jedyną kochanką bohatera powinna była być tylko ojczyzna.

Tej się oddał teraz niepodzielnie. Wyprawa sycylijska pochłonęła wszystkie myśli Garibaldi'ego. Ale podkład goryczy istniał. Gdy mu przyjaciel przedstawiał, że impreza, na którą się waży, jest prosto projektem desperata, odrzekł wzdychając: — Eh, przyjacielu, czy sądzisz, że mi na życiu cośkolwiek zależy dzisiaj?

Zdrowa natura zwyciężyła smutek, wspaniałe zwycięstwo ukoronowało ryzykowną wyprawę. Podwaliny do jedności Włoch były ugruntowane. Zwycięzca. Dyktator oddał królowi zdobyte ziemie i bez nagrody, bez zdobyczy wrócił do swojej pustelni na wyspie Capri, szczęśliwy, że ma tam dach nad głową, niezależność i spokój.

Im jaśniej świeciła gloria bohatera, tem cięższy mrok osnuwał parę „winowajców“. Plotki mówiły, że widziano ich razem w Szwajcarji, że w którymś mieście ludność wybiła szyby w mieszkaniu, gdzie się schronili. Nigdzie nie mogli znaleźć schronienia przed własnym sercem. Biło w niem mocne uczucie patriotyczne. Jaki dramat! Ojczyzna skazywała ich



...Zajęto się muzyką...



...Panna młoda, śliczna w białym welonie na czarnych lokach...

na banicję, imiona ich wyklinano we wszystkich kościołach myśli narodowej a zarówno młody oficer, jak niedawna emisariuszka i wywiadowczyni żyć nie mogli zdala od kraju i walki za jego wolność.

Giuseppina wychowała się w domu, gdzie „religią była wiara w Italię“. Ojciec jej był patryotą, do wszelkich ofiar gotowym, a dziś nie tylko ona, ale i stary markiz, musieli stać na boku z zakrytą twarzą, gdy cały kraj promieniał radością zwycięstwa.

Ta sama żałoba spadła na dom Carolich. Matka i panna Annetta nie przeżyła tragedji ukochanego syna. Brat młodszy, Bernard, walczył w szeregach Garibaldi'ego, ale dla Ludwika zostały one zamknięte.

W kilka tygodni po powrocie Garibaldi'ego na wyspie Capri zjawiała się młoda kobieta i prosiła gorąco o możliwość widzenia się z generałem.

Nie uzyskawszy przyjęcia, pozostawiła kartkę, której treść była następująca:

— Nizej podpisana uważa się za zupełnie zwolnioną z jakiegokolwiek zobowiązania i związku wobec generała Józefa Garibaldi'ego i przyznaje mu zupełną swobodę zawarcia drugiego małżeństwa, uważając, że nikt na świecie nie ma prawa zmusić dwoje ludzi, którzy chcą się rozstać, do wspólnego pożycia.

Garibaldi ochłonawszy z gniewu, nie zachował w sercu nienawiści do „zdrajczyni“. Chętnie podpisał równobrzmiącą deklarację i odesłał ją swojej byłej żonie. Młoda kobieta i stary żołnierz ludzili się naiwnie, jak dzieci, że wystarczy dobra wola obydwóch zainteresowanych osób, aby zwrócić im wolność i zgładzić skutki fatalnego błędu.

Niebawem dowiedzieć się mieli, iż owe małżeństwo fikcyjne: *rato e non consumato*, jest łańcuchem nierozzerwalnym. Dla mężczyzny stanie się kulą u nogi, przez lat dwadzieścia ciężącą, kobiecie zatruje życie i zgasi wszelką jego radość. A „*ten trzeci*“ — „zapłaci za wszystko i wszystkich“.

Karolina Bielańska.

W POWROCIE DO ŻYCIA

Nieskończonym pędem, nieubłaganym rytmem przewala się perpetuum mobile potężnej maszyny życia...

Tragiczne odgłosy walki o byt... Zdobycia dzisiaj, zaspokojenie troski o jutro... Często za wszelką cenę — wszelkimi środkami. Wbrew wszelkim prawom; — za cenę ich przestępstwa.

Wszyscy znają to słowo.

I każdy wie o istnieniu grubych ksiąg, kodeksów, zawierających setki artykułów, norm prawnych, regulujących życie społeczne, stojących na straży ładu i bezpieczeństwa.

I każdy wie, że codziennie tysiące ludzi popada w konflikt z temi paragrafami. Konflikt większy, lub tragiczny, wstrząsający każdym fibrem naszych nerwów.

Wielka liczba drobnych zewnętrznie występków nie dociera do głębin naszej świadomości. Stępiała wrażliwość nie chwytą szarych tragedij. Ze znuzeniem odwracamy oczy. Nie chcemy o nich myśleć.

— Ale oto zdarza się coś niepowszedniego!

Krzykliwy anons codziennego, pisma.

Niezwykła zbrodnia, lub zbrodniarz niezwykły.

— Kto — jak — dlaczego?

Sensacja.

I tłumy śpieszą do sądu.

Poco?

Czy chcą pomóc do wyświetlenia prawdy? Czy współczują ofiarom przestępstwa? Czy chcą zrozumieć tego, kto tak zuchwale ściągnął na siebie karzącą rękę sprawiedliwości?

Nie. Pcha ich głód wrażeń.

To nie książka, czy kinematograf. Tu rozegra się, wyjaśni istota żywego dramatu.

Sala sądowa. Rozprawa.

Tłum widzów, ławki przepelnione. Wszyscy rozgorączkowani, wszyscy mówią tylko o nim.

Przy długim stole sędziowie o twarzach spokojnych, myślach niezbadanych. Prokurator i obrońca krzyżują między sobą ostrza słów. Poniżej tłum reporterów. Szepczą, zapisują.

Figury świadków, ludzi mniej lub więcej zwykłych, którym to uczestnictwo w niepowszedniej sprawie nadaje nagle znaczenie wyjątkowe, przesuwiają się zrazu wyraziście, później coraz bardziej monotonicznie. Było tak, a tak, wtenczas, a wówczas.

Historja rośnie, zbrodnia się wyolbrzymia, atmosfera na sali coraz bardziej naprężona. A pośród tego tam na ławie oskarżonych on — przestępca. Napozór nic szczególnego. On, który jedynie wie, jak

było naprawdę. Który wyjawia wszystko, lub milczy, twierdząc, że jest niewinien. On, któremu się wierzy, lub nie wierzy. On, *zawsze z męką w oczach* — duszę przejrzeć tak trudno.

Włoką się godziny naprężenia, minuty stają się coraz dłuższe.

Wreszcie wyrok. Ciężkie więzienie. Krótki spazm na twarzy tego, którego przyszedł oglądać, a na sali przeciągłe westchnienie grozy, a jednocześnie jakby ulgi, że się to wszystko skończyło. Bo już nie mamy czasu. Jego zabiera policja, nam śpieszy się do zwykłego życia.

Pogodny nastrój domu rozwiewa wkrótce myśl o człowieku, który kogoś zabił, czy coś ukradł.

I niema już miejsca na myśl, co się z nim dalej dzieje.

Pochłonęło go więzienie; to wszystko.

Za czarną, żelazną bramą znikł dla świata. Krótki, chrapliwy zgrzyt klucza oddzielił go od tego wszystkiego, co stanowiło dotychczas jego życie.

Zmieszał się z szarym tłumem przestępców. Przestał być widowiskiem dla innych. Przyszedł czas, by spojrzeć sam na siebie.

Szara cela więzienna. Proste, niezbędne sprzęty. Stół, stołek. Tapczan na noc przytwierdzony do ściany.

W ciemnej plamie drzwi mały okrągły otwór — „judasz“, przezeń dozorca zagląda do celi.

A naprzeciwko, w górze zakratowane okno. Ponad niem, niebo, dalekie, nierzeczywiste, odległe, jakby go wcale nie było. Smutek i szarzyzna. Tęsknota za dźwiękiem, ruchem, życiem.

Świadomość długich, monotonicznych dni więziennych, mechanicznej pracy, jedzenia, spania, palących myśli pod czaszką...

Myśli o powrocie do życia.

Odbudowania spalonych mostów. Stworzenia nowej drogi. Myśli o chwili, która wcześniej, czy później przyjść musi dla każdego, **chwili odzyskania wolności**. Koło niej snuje się nieustannie przedziwo godzin więziennych... I codziennie dla kogo innego zwykły dzień staje się dniem upragnionym...

Dozorca otwiera celę: **na wolność!**

Ludzie, którzy chcą powrócić do życia, stają po drugiej stronie muru. Już nie są jednakowi. I losy ich stają się odmienne.

Ci, którzy posiadali dom, idą do domu.

Ci, których kochano, śpieszą odnaleźć przyjazne serca.

Ci, którzy coś posiadali, dążą niecierpliwie objąć władanie nad rzeczami.

Ale są tacy, co nie zastają zpowrotem domu...

I tacy, od których odwróciły się wszystkie serca...

I ci, co nie posiadają nic.

Rozbitki.

Czy chcecie się im przyjrzeć?

Oto poczekalnia Patronatu, towarzystwa opieki nad więźniami, takiego szalonego towarzystwa, które podaje rękę wszystkim uwolnionym z więzień, by ich **przywrócić do życia**, włączyć zpowrotem w ogniwa rozpedzonej maszyny, której stali się zbędni.

Gęste kłęby dymu w ciemnym przedpokoju. Papieros, pierwsza uciecha wolności, na ławkach kilka postaci.

Twarze znuzone czekaniem, dręczone niepokojem. W rękach każdego mała czerwona kartka; zwolnienie z więzienia.

Wreszcie otwierają się drzwi.

— Kto do Patronatu, proszę?

Do pokoju wsuwa się młoda kobieta. Twarz prawie dziecinna. Oczy spłoszone, niepewne.

— Czem mogę pani służyć?

— Ja... ja wyszłam dziś z więzienia...

— Długo pani tam była?

— Szesnaście miesięcy, cztery przewencyjnie i dostałam jeden rok...

— Za co?

— Oszustwo.

— Ile pani ma lat?

— Dwadzieścia.

— W czym możemy pani pomóc?

— Ja... ja chciałabym otrzymać jakąś pracę...

— Co pani umie?

— Mam sześć klas gimnazjum. Dawniej byłam kasjerką w jednej firmie i właśnie tam... Coś mi opłatało... Nie mogłam się powstrzymać... I tak zniszczyłam sobie życie.

— Ma pani rodzinę?

— Mam ojca w Kaliszu.

— Pracuje?

— Tak, ojciec pracuje.

— No to najlepiej niech pani jedzie do domu.

Milczenie.

— Pisała pani do ojca z więzienia.

— Pisałam. Nie odpisał i nic o mnie wiedzieć nie chce. Ojciec jest urzędnikiem... Ja zhańbiłam całą rodzinę. I bracia też się mnie wyparli... A ja wiem przecież, że źle zrobiłam... Ale przecież to pierwszy raz... I może też, gdyby ojciec więcej o mnie dbał... z domu mnie do Warszawy nie wypuścił... I może gdyby matka żyła, to... A tak, to — eh!

— Hm, więc cóż pani chce ze sobą robić... Tu w Warszawie trudno pani będzie...

— Ja wiem... To może jabym pojechała do Lublina? Tam moja koleżanka ma pracownię sukien. Ona jedna do mnie napisała do więzienia. Może ja się tam zaczepię, nim co znajdę? Tylko czy... czyby Patronat nie mógł mi kupić biletu?

— Do Lublina? Dobrze. A tam jest też Patronat. Więc jak pani będzie ciężko, proszę tam iść, także pomogą. A teraz niech pani posiedzi w poczekalni. Nasz woźny kupi i doręczy pani bilet.

— Dziękuję.

Nowe skrzypnięcie drzwi.

Wchodzi mężczyzna w obszarpanym odzieniu.

— No co? Dostał pan już pracę?

— Nie, proszę pani i prosiłbym jeszcze o zapomogę.

— To już piąty raz!

— Ja wiem, proszę pani. Ale cóż robić? Czy mnie to przyjemnie? Wyniszczyłem się całkiem tem więzieniem.

— Chodzi pan do pośrednictwa?

— Chodzę, ale nie mogę dostać. Wszędzie mówią złodziej i złodziej? Ale co ma robić złodziej, jak się chce poprawić? Codzień wracam z pustymi rękami do domu. Już nie mogę patrzeć ani na żonę, ani na dzieci... Bo cały czas, jak byłem w więzieniu, to im mówiła, że jak ojciec wróci, to się poprawi... Ładnie się poprawiło!..

— A prywatnie nie może się pan starać o posadę?

— Owszem. Jednej pani mąż, co u niej pierze moja żona, przyjąłby mnie do noszenia listów, na woźnego, niby to dla żony i dzieci, albo ta pani widziała, jaka u nas bieda, ale mówi, musi pan mieć porządne ubranie, bo takiego obszarpanca nigdzie nie wpuszczą... A to, co ja mam na sobie, to lachy, a skąd ja wezmę porządne ubranie? Wszystko, co było w domu lepszego, żona wyniosła na Kercelak!..

Pani sekretarka podchodzi do szafy. Wyjmuje kilka sztuk odzieży.

— Niech pan przejdzie do drugiego pokoju i przymierzy to ubranie. Jak będzie dobre, otrzyma je pan.

— Kto następny?

Drzwi otwierają się z trzaskiem, ręką zamaszystą. Okutana w chusty i chuściny wtacza się niska, krępa babina.

Twarz czerstwa, brunatna, poorana tysiącem zmarszczek, ale jeszcze pełna życia. Małe, czarne oczy błyszczą żywo, jak tarki.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków. Czego chcecie, kobitko?

— Czego ja chcę?.. Ano, nie wim... Ta pani z Patronatu, co chodziła do więzienia, to me mówiła, jak wynde, żeby tu przyńść...

— A to, to wy jesteście zwolnieni przedterminowo? I Patronat za wami poręczył?

— A juści. Prosiłam Patronatu, żeby się za mną podpisał, bo kto jenszy podpisałby się za mnom sierotom? A umierać w więzieniu nie chciałam.

— No jeszcze wam do śmierci daleko!

— Jak Pan Jezus będzie chciał!

— Za co siedzieliście?

— Za niewinność, proszę pani! Syn rodzony mnie obskarżył, zem go podpałała! Najpierw mnie z domu wyrzucił, a potem obskarżył! I bez niego siedziałem cztery lata!

— A teraz nie chcecie tam wrócić...

— A poco jabym tam miała wracać! Żeby go drugi raz spalić?! Takiego, co rodzonej matce chleba żałuje? A poco jabym tam, jabym tam miała wracać? Na nową poniewierkę? Na żebry?

— No dobrze. Więc słuchajcie. Ta pani Kuratorka, co rozmawiała z wami w więzieniu wystarała się wam o miejsce na wsi, we dworze, jutro przyjdą stamtąd konie. Dziś przenocujecie tu u nas. A teraz posiedźcie jeszcze w poczekalni.

Drzwi otwierają się znowu.

Wchodzi wysoki, barczysty mężczyzna. Twarz ściągła, poorana bruzdami. Ciemne oczy, głęboko wpadnięte, podsiniałe w nerwowych obwódkach niewyspania czy płaczu. Cera blada, niezdrowa. Na skroniach przedwczesna siwizna.

Automatycznym ruchem podaje kartkę zwolnienia.

— Kiedy pan wyszedł?

— Dwa dni temu.

— Ile lat był pan w więzieniu?

— Sześć i pół... Prawie siedem... Dostałem więcej, tylko zeszło z amnestji...

— Za co?

— Zabójstwo...

— Um... O co pan prosi...

Długie milczenie.

— Proszę powiedzieć... Jeśli pan tu przyszedł, to już trzeba być szczerym... A co będzie w naszej mocy, dopomożemy...

— Dziękuję... Ale ja właściwie... Trudno mi mówić... Od wczoraj chodzę, jak błędny...

— I tu przyszedłem z ostatnią nadzieją... Może Patronat coś wie... Bo jak nie, to już mi nie żyć! Już mi moja wolność niepotrzebna... Już ja sobie innej poszukam, nie na tym świecie!..

— Niechże się pan uspokoi... proszę powiedzieć, o co chodzi?

— To już muszę wszystko, proszę pani... Ja siedziałem za zabójstwo... Ja własną żonę zabiłem, proszę pani. W szale, w uniesieniu... Zazdrość oczy mi posoką zalala... rozum odjęła... I tak ją skrzyw-

dziłem, na wieki. Niewinnie skrzywdziłem!

— Te dziesięć lat, co mi dali, przyjąłem. Nie apelowałem. Myślałem, że zemrę może w więzieniu, sprawiedliwie będzie... Ale nie zmarłem.

— Dzieci pan nie miał?

— Dzieci?... Syneczka maleńkiego zostawiłem. Kruszyne, pięć miesięcy!.. Matkę mu zabiłem, zbrodniarz... W oczach jego niewiedzących, niewinnych... Więc, jak mnie zamknęli, to go wzięła na wychowanie babka, żony matka-staruszka... Napisałem do niej po sprawie list, nie odpowiedziała, nie przysłała... Czy mogłem się dziwić, że mnie nie chce widzieć, że syna mego chowa, jak sierotę?... Że ojca mu nie chce pokazać za kratami... Nie upominałem się. Żeby ścisnąłem. Ścierpiałem. Tylko po nocach głową o ścianę tłukłem. I już nie wiem, co by ze mną było, ale... Do spowiedzi poszedłem... I usłyszałem: syna odszukać, wychować, **krzywdę wynagrodzić!** Więc się tej myśli przychwyciłem, jak tonący. I przedwczoraj, prosto od tej bramy więziennej aż mnie coś pognało... Przychodzę, pytam, a tu, jak grom! Teściowa umarła pięć lat temu, a dziecka ani śladu. Co się z niem stało, niewiadomo! Obleciałem wszystkie kąty, znajomych, nikt nie wie, nie pamiętają... Jak oszalały chodzę te dwa dni... I dopiero dziś rano ktoś mi powiedział, że bym tu przyszedł... że babka tu chodziła, więc może...

Pani sekretarka patrzy na kartkę zwolnienia. Czyta nazwisko. Później zagląda do jakiejś książki. Przerzuca kartki.

— Julian chłopcu na imię?

— Tak, proszę pani.

— W 22 roku urodzony, 5 grudnia?

— Tak.

— No to... pański syn jest u nas... w zakładzie dla dzieci więźniów...

Szara twarz mężczyzny oblewa się szkarłatem. Rękami opiera się o stół.

— Jest!.. Gdzie?..

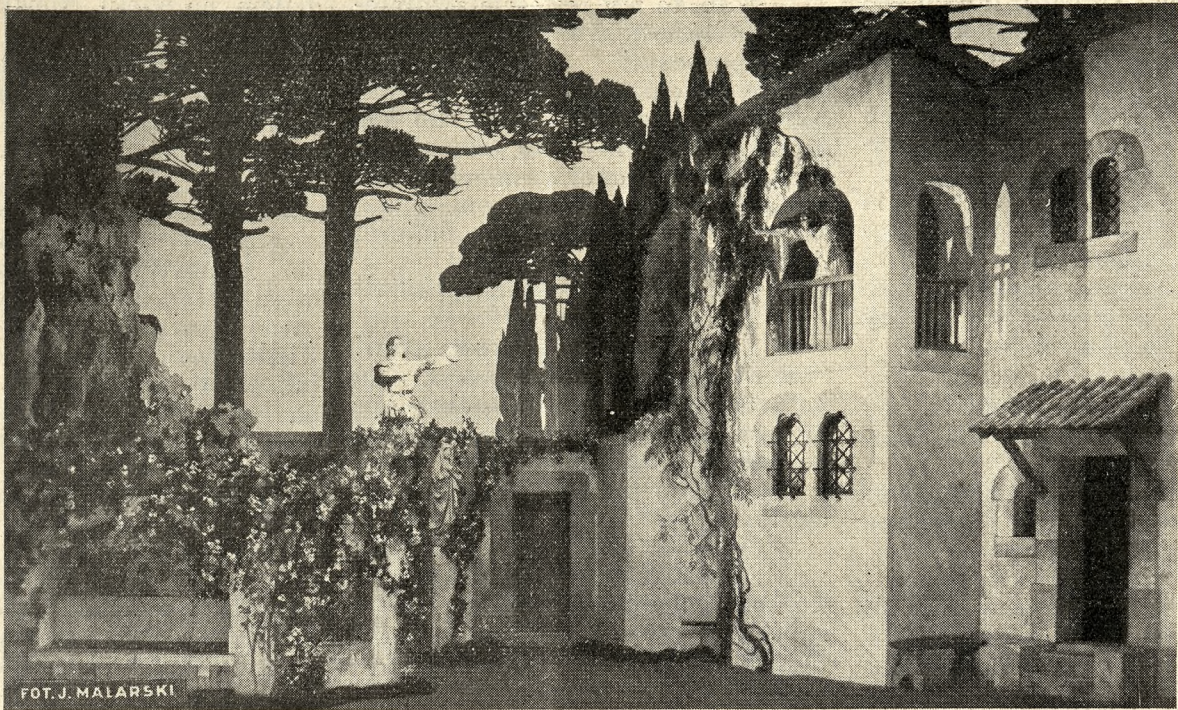
Pani sekretarka sięga do szuflady. Wyjmuje kilka fotografii. Przegląda. Wreszcie pokazuje jedną z nich.

— O, widzi pan, te dzieci przy stole, a ten, to Julek, zdrowy, miły chłopiec. Bardzo go tam lubią.

Ojciec chwytą odbitkę. Chciwymi oczyma wpija się w maleńki, blade krążek dziecięcej twarzy... Chce się pohamować, ale nie może.

I nagle, człowiek przywrócony do życia, wybucha gorącym, niepowstrzymanym płaczem — radości!

Wanda Grabińska-Wojtowiczowa.



Dekoracja do sztuki „Romans florencki” Kiedrzyńskiego.

WINCENTY DRABIK

(Z powodu pośmiertnej wystawy jego prac w Zachęcie).

Któż w Polsce z miłośników teatru nie zna nazwiska Drabika? Nawet mieszkaniec najodleglejszej prowincji, któremu raz w życiu udało się być w stolicy na operze, albo na dramacie, musiał być wciągnięty w to zaczarowane koło tęczowych wizyj, jakim były dekoracje Drabika. Poznać je można było zawsze po tem potężnem źródle dynamiki plastycznej, które buchało, jak lawa, z tego przedziwnego skojarzenia barw i kształtów, porywając widza, zanim zdążył się opamiętać, odosolnić, wyeliminować swoją jaźń z zalewającego ją żywiołu.

Nawet ujemna krytyka w stosunku do Drabika musiała operować superlatywami. Drabik mógł się komuś wydać za bogaty, zbyt przytłaczający, **zanadto** fantastyczny, **zamało** umiarkowany.

Ten Wyrwidąb i Waligóra plastyki nie skradal się do tematu, choćby najgroźniejszego, ale zastępował mu drogę, chwycił go za łeb, albo brał się z nim za bary i po krótkiej walce powalał. Umiał spojrzeć oko w oko niebezpieczeństwu. Nie cofał się nigdy, zawsze szedł naprzód, choćby po gruzach swoich dawnych koncepcyj. Dowodem taka „Nieboska” Krasieńskiego, którą inscenizował trzy razy w swem życiu, za każdym razem, jak inny człowiek, nie! raczej jak nowy Drabik.

Jego niepohamowana żywiołowość zadecydowała o jego kierunku w sztuce. Jego kultura była kulturą wyobraźni, kulturą wizyjnego momentu, nie kulturą historycyzmu, zakrzeplą w tradycyjnych formach. I dlatego Drabik nie był nigdy dekoratorem

stylowym, tylko dekoratorem fantastycznym. Jego cwałująca wyobraźnia umiała czasem śladem donki szotowym mknąć na wiatraki, ale nie zdobyła się nigdy na niewolnicze dłubanie jednego kapitelu czy serwantki.

Jeżeli stwarzał architekturę, to ta architektura szalała, dyszała jak smok przedpotopowy ogniem i wichrem, albo była architekturą legendy, wdmuchaną z tęczy, rosy, skrzydeł motyli. Dlatego Drabik najbardziej czuł się sobą wtedy, kiedy mógł puścić wodze fantazji, kiedy sama natura dekorowanego dzieła tego odeń wymagała, t. j. w operze, w balecie, w dramacie fantastycznym. Tam dopiero szalał czarodziej teatru. Któż zapomni jego kopalnie soli w Panu Twardowskim, pejzaż w Goplanie, upajające jak haszysz wnętrza w Turandocie, noc na cmentarzu w Don Juanie...

Z niesłychanem bogactwem wewnętrznym łączył wielkopańską rozrzutność. Nie szczędził siebie, nie tylko wtedy, kiedy chodziło o konkretną, realną pracę, ale i wówczas, gdy mu to dyktowała jego szeroka fantazja. Niech no tylko ktoś inny poważił się dekorować jego ulubione dzieło nie tak, jak on to widział! W porywie twórczego sprzeciwu rzucał wtedy na papier swój kontrprojekt, nie bacząc, że może nie dane mu będzie nigdy wyjść poza jego pracownię. Tak np. powstała genialna wizja Don Kiszota, którą ujawniła szerszej publiczności dopiero pośmiertna wystawa Drabika.

Ta wystawa, na której z pietyzmem zgromadźno przeszło pół tysiąca prac Drabika, nietylko z zakresu dekoracji teatralnej, ale i czystego malarstwa, daje nam pojęcie o zasięgu jego możliwości twórczych.

Zobaczyliśmy też poraz pierwszy kolekcję jego portretów i kwiatów. Portrety ukazują nam podwójne oblicze Drabika, jako artysty. W jednych wyowiada się spokojny, akademicki kopista natury, zdradzający swoje skłonności dekoracyjne jedynie ciekawym zestawieniem barw.

W drugich Drabik, marzyciel i poeta, wydobywa na jaw duszę modela, opowiada nam jej historję. W tym drugim typie studjów portretowych, pełnych ekspresji i subtelnej melancholji, znać duży wpływ Wyspiańskiego.

Ta wystawa odsłania nam, nieznaną laikom, a bezcenne dla znawców tajniki jego kuchni artystycznej, może być źródłem niespodzianek i odkryć z dziedziny genezy i krystalizowania się jego wizji scenicznych, ale z konieczności daje nam Drabika we fragmentach, w kawalkach, na płaszczyźnie, Drabika dwuwymiarowego, podczas gdy on był przecież aż do szpiku kości człowiekiem trzeciego wymiaru.

W perspektywicznej głębi, w luzie przestrzennym, w masie i bryle, w dynamice ruchu, chwyczonego niejako na gorącym uczynku, w rytmie barw i linii wyowiadał się dopiero cały Drabik. W atmosferze teatru ożywał, był sobą, jak ryba w wodzie.

I nie była to ryba płytkich mórz. Drabik nie lękał się głębi. Pociągała go i kusila wielkość, monumentalność, prometejska zdobywczość, lucyferyczny bunt. Wiedziony nieomylnym instynktem, a może duchem pokrewieństwa, omijał mielizny i miernoty, — oburącz chwytając się szczytów.



Wincenty Drabik: „Portret p. Halskiej”.



Wincenty Drabik: „Portret córki”.

„Nieboska“, „Dziady“, „Sen srebrny Salomei“, „Król Agis“, „Faust“, „Don Carlos“ Schillera, Szekspir, Fredro, Wyspiański, Zorilla — oto był zaklęty pierścień wielkich duchów, który wziął duszę jego w wiekuiętą a błogosławioną niewolę. Trawiła go nienasycona żądza: im dorównać, im sprostać; przełożyć słowa tytanów na mowę kształtu i barwy. Czy tego dokonał, czy zawsze był ich równoważnikiem plastycznym? To może być przedmiotem sporu, bo nikt tak, jak wielcy entuzjaści i wielcy wizjonerzy, nie budzi tylu sprzeciwów i wątpliwości.

Ale jedno jest jasne: Drabik nigdy nie pomniejszał olbrzymów. Jeśli im nie mógł dorównać polotem, starał się ich dogonić rozmachem. Nad ich genialnymi głowami dźwigał, jak Atlas, kopułę ich myśli, zmaterjalizowaną w tęczę.

Należał do rzędu tych wyjątkowo szczęśliwych ludzi, którzy żyją w ustawicznym zachwycie. Jak prostaczek, zapatrzony w cud, modlił się swemi wizjami. Umiały być czarowne, jak sen, zawrotne, jak przepaście, proste, jak polne kwiaty, upajające, jak wiosna w górach, czasem ponure, jak noc rabinowa, częściej pogodne, jak letni dzień.

Dopiero pod koniec życia coś się przełamało w Drabiku. Jego ostatnie szkice do „Podziemi weneckich“ Krasińskiego dyszą jakimś zaświatowym, demonicznym mistycyzmem. Ten pachol z mieczem, wijący się w skrętach własnych potwornych mięskulów, ma coś z renesansowego potępieńca. Jakby zeszedł ze sklepienia Sykstyny i Michałaniołowym gestem skinął na swego twórcę.

To Śmierć wypelzła z Podziemi weneckich i zawołała na Drabika:

— Pójdź!

Stefanja Podhorska-Okolów.

KOBIETA—LEKARZEM DZIKICH BESTYJ

Rozmowa w ogrodzie zoologicznym z p. Janiną Czempińską-Paszkiwiczową, lekarzem weterynarji.

Oaza, daleka od szybkiego tętna życia, to świat zwierząt, ogród zoologiczny.

Jest ktoś, komu znane są troski i bóle czworonogów i dwunogów, zamkniętych w klatkach ogrodu zoologicznego, to lekarz weterynarji, kobieta...

Chcę z nią porozmawiać o jej pracy.

Kapelusz. Palto. 18-tka. Jądę.

11-a rano. Mróz. Śnieg i słońce.

— Gdzie jest p. doktor weterynarji?

— Na ogrodzie. Zdaje się koło lwów — odpowiada miły dozorca.

A lwy dają o sobie znać. W całym ogrodzie rozlega się głuchy, zły pomruk. Więc, jak w puszczy afrykańskiej, kierując się słuchem, trafiam do klatki z lwami i...

Wysoka, jasna blondynka o subtelnej twarzy z obrazu Greuze'a, kieruje robotą przygotowawczą do przeniesienia lwa na inne mieszkanie. Z wielkiego, zabitego, drewnianego pudła dochodzi bolesny jęk stęsknionego małżonka, którego odłączono od żon i dzieci.

Dozorca uważa, że jestem niepotrzebna.

— Tu niema nic dla publiczności — mówi groźnie.

— Ja tylko do pani doktor...

— Pani do mnie?

— Tak, chciałam prosić o wywiad.

— Ze mną, czy z ogrodem?

— Właśnie z panią... Jak się to stało, że jest pani na takim odpowiedzialnym stanowisku?

— Tak, jak wszystkie cudowne rzeczy, przypadkiem... Po skończeniu weterynarji zgłosiłam się tutaj z prośbą o pracę. Zgodzono się, zresztą z wielkim niedowierzaniem patrząc na moje poczynania.



Pani Czempińska-Paszkiwiczowa z tygrysiątkiem.



Płochliwe aniyłopy mają zaufanie do „pani doktor”.

— Na czym polega pani praca?

— Zaraz pani zobaczy.

Idziemy szeroką drogą, koło klatek i zatrzymujemy się prawie przy każdej.

— Proszę wypuścić słonie na spacer na pół godziny. Jest dosyć ciepło. Nie przeziębią się. A czy Marcik ma coś do mnie?

— Tak jest, proszę pani doktor. Małą, zdaje się, żab boli.

„Mała“, która już prawie wyrosła z zajmowanego mieszkania wysokości jednopiętrowego domu, patrzy przymilnie na panią doktor i ociera z rozczuleniem tęsknoty swoją trąbę o jej dobrą rękę.

— Słonie, to moi najmilsi pacjenci. Takie wyjdziemy dalej. Klatki z małpami. Słodka Zogi na widok pani doktor wychyla łepkę przez kratę, uśmiecha się, pokazując zdrowe zęby.

„Małgosia“ (szympan) lubi kawały. Ma wielką ochotę zerwać pani kapelusz z głowy i pobawić się nim trochę, aż zostaną z niego same strzępy.

Wchodzimy do małego domku. Wszystkie drzwi zamknięte na klucz. W jednym pokoju, wybielonym wapnem, na podłodze leżą 2 tygrysy i jedna lwica.

— Jeszcze dzieci, mają dopiero po 5 miesięcy.

Pani doktor wchodzi swobodnie do pokoju i głaszcze łaszące się, małe tygrysiątka.

— Ten widok nadaje się do sensacyjnego filmu... Kobieta młoda, piękna przytula twarz do przegowanej tygrysy sierści, aż złe spojrzenie zielonych oczu staje się łagodne... Pani ma chyba jakieś właściwości poskromicielki?

— No, nie, poprostu kocham zwierzęta, a one to czują.



Zebra i pocziwoy swojski osiołek nie potrzebują obłaskawienia.

— Czy wszystkie obdarza pani jednakową sympatią.

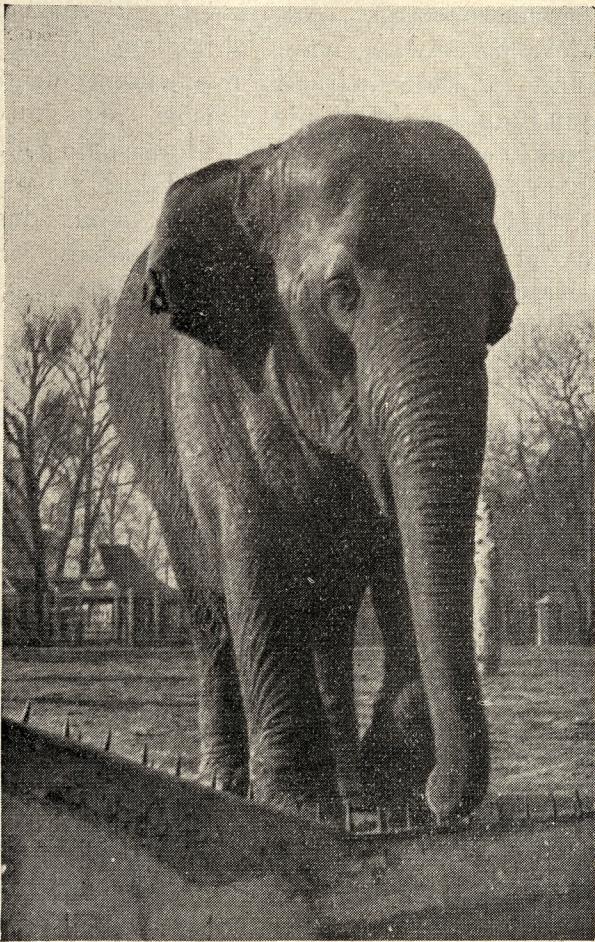
— Wszystkie lubię tak samo. Okresami przywiązuję się do tego, z którym mam najwięcej roboty. Codziennie obchodzę cały ogród, zaglądam do każdej klatki, sprawdzam, czy żadne zwierzę nie cierpi z powodu goraca, zimna, głodu lub bólu.

— Dozorcy zawsze mają tysiące spraw, a poza tym mamy przecież ciągle przychówek (nasza duma!)

— Stale sprowadzamy nowe zwierzęta, które trzeba aklimatyzować, poznawać ich charakter, zwyczaje, nałogi.

— Czy zwierzęta prędko się przyzwyczajają?

— Tak. Objawów dłuższej nostalgji nie zauwa-



Najwdzięczniejszy pacjent.

żyłam, chociaż z początku wszystkie zachowują się z pewną rezerwą.

— Pewno za to pacjenci po wyleczeniu okazują wdzięczność?

— Tylko słonie...

— A które najczęściej chorują?

— Trudno na to odpowiedzieć. Wogóle chorują mało. Staramy się raczej przez odpowiednie warunki higieniczne zapobiegać możliwym dolegliwościom.

— Czy zdarzają się operacje?

— Tak, ale rzadko.

— Ile godzin zajmuje pani praca w ogrodzie?

— Zajęta jestem codziennie włącznie z niedzielą od 9-tej rano do 4-ej po południu.

— I wszystkie zabiegi lecznicze robi pani sama?

— Naturalnie. Z techniczną pomocą dozorców.



Czy tęskni za smoboda?

— Jest pani chyba jedyną kobietą na takim stanowisku w całej Europie?

— Doprawdy, że nie wiem. W Polsce w innych ogrodach zoologicznych niema stanowiska lekarza weterynarji.

— A koleżanki, które kończyły z panią weterynarję?

— Wszystkie pracują, a niektóre mają bardzo odpowiedzialne stanowiska.

— I dają sobie radę, zyskują zaufanie?

— Chyba wszędzie jest tak samo. Mnie tutaj z początku też traktowano z lekką ironją, dozorczy ze wzdzięliwą obojętnością. A teraz jesteśmy wszyscy w najlepszej przyjaźni.

— Jakie są pani zamierzenia na przyszłość?

— Jest ich bardzo wiele... Chcę napisać książkę dla dzieci o zwierzętach. Muszę zdobyć doktorat, narazie jestem tylko lekarzem weterynarji.

— Ma pani przecież jeszcze całe życie do zrealizowania swoich planów.

Uśmiechnęłyśmy się do siebie ze zrozumieniem.

Jadwiga Zielenkówna.

WYCHOWANIE I SZKOŁA

KORZENIE ZŁA

Jeszcze często mówią o nasiąkającej i trącej skorupce, ale nie każdy znosi tę formę mądrości narodu ze względów estetycznych. Faktem jest, że sprawa człowieka poczyna się za młodu, od tych lat wczesnych, od kielków najzieleńszych i pędów. Prawdą jest również, że po pierwszych strachach, egzaltacji, kolosalnym poczuciu wagi ojcostwa i macierzyństwa nad kołyską (anachronizmu tego używa się zawsze jeszcze w publicystyce, literaturze i... sercu) następuje odprężenie.

Jakaż to dziwna rzecz. Sprawa butelki i kaszki, pieluszek i kąpiel, to zwykle kwestja — rozwiązywania w miarę sił i warunków wzorowo. Okres dalszy — śmiało można uprościć — ten szkolny, jest okresem wypoczynku rodzicielskiego napięcia. Czy dlatego, że dziecko nie wisi dzień cały nad karkiem, nie nudzi, nie pożąda tysięcy drobnych posług? Czy też czujemy, że to już kto inny wziął na siebie odpowiedzialność — szkoła, nauczyciel, wychowawca, może koledzy? Czy też to ukochane, czyściutkie, wymyte i wyszczotkowane, nie używające brzydkich wyrazów dzieciątko tak odrazu zmienia się w jakiś egzotyczny, posługujący się obcemi gestami i gwarą, twór, że w stosunku do niego nie poczuwamy się już do prawa własności?

Czy poprosto chcemy nareszcie, dawszy nadmiar przeżyć i starań ze siebie, trochę odpocząć? Faktem jest, że tej młodzieży szkolnej, tej niewątpliwie przyszłości narodu, staramy się schodzić z drogi. Stali się głośni, buntowniczy, nieznośni. Nie chce się z nimi zadzierać, chyba tylko w granicach czystości i jakiego takiego trybu życia w domu.

Do czego sprowadzają się nasze wymagania?

Do odrabiania lekcji, unikania dwój i drugiego sezonu w klasie, stawiania się na posiłki, wracania przed nocą do domu, wycierania nóg, mycia rąk (czasem szyi), nietupania w godzinach drzemki ojca rodziny (matki — owszem, niestety), nieczytania książek zakazanych, niezawierania podejrzanych znajomości.

To prawie wszystko.

Jeszcze może: dyskusji w tonie kulturalnym, porządnego jedzenia, i nie zwracania głowy wyczynami sportowemi.

Teraz już wszystko, wyznawszy prawdę.

Młodzież zresztą lubi takie postawienie kwestji, a w każdym razie woli, niż wtrącanie coraz nowych rodzicielskich trzech groszy w swoje intymne sprawy.

To jest dobra taka tolerancja, ale tylko w odniesieniu do natur niektórych. I w dodatku, jeśli są to tylko pozory ze strony rodziców, jeśli pozatem umieją widzieć, nie przyglądając się natarczywie, odgadywać, nie zadając bolesnych pytań, czytać w swoim dziecku, nie wymagając niedyskretnych obnażeń, których młodzież nie znosi. Bo widocznie

istnieje jakaś niebezpieczna przerwa w naszych obserwacjach młodzieży, jakieś karygodne zaniedbanie, jeśli nagle wyrasta przed nami tragiczne pytanie: „skąd się to wzięło w moim dziecku?“

Dawało mu się swobodę, darzyło zaufaniem, a tu nagle przychodzi bolesne rozczarowanie: kłamie, wykręca się, nadużywa łatwowierności.

Chowało się je w przykazaniu miłości, a tu nagle — brutalność, oschłość, egoizm, pomiatanie niższymi, traktowanie rodziców, jak wrogów.

Od dzieciństwa przyuczało się do ładu, porządku, a tu niedołęstwo, niechlujstwo, chaos w książkach, w ubraniu, prostackie maniery, wymagania najdrobniejszej nawet posługi.

„Ojczyzna“ stanowiła coś w domu rodzinnym, a tu z pierwszym wystrzeleniem wgórę dojrzewającej myśli — nagle, niebezpieczne dla tejże ojczyzny ślepe zaufanie do niesprawdzonych doświadczeń społecznych sąsiada od wschodu...

Przedewszystkiem zaś obcość, wroga, narastająca z latami, poczucie własnej wyższości, wyczekiwanie na moment oderwania się od rodzinnej gałęzi, zrzucenia z siebie domowego jarzma. Jakby kto wiewił w domu te dzieci.

A może to już tak zawsze być musi, ta ostrość zmagania pokoleń, ta przewaga młodości i nie warto płynąć przeciwko wodzie?

Nie. To nie musi być tak. Przedewszystkiem można z tego usunąć za nawias moment niespodzianki. Ta nasza ostrość reakcji, ten fakt **zaskoczenia** świadczą przeciwko nam, objawiają zdradzieckie zapadnie, w które wtrąciła nas wina tylko nasza, niczyja inna, nie dzieci, nie „czasów“, nie szkoły.

Jakto, więc coś się tu działo, nurtowało podziemie, a myśmy nic nie widzieli? Jakież zło przędło się w oczach naszych zdradziecko, a my dostrześliśmy je w tej ostatecznej, zdecydowanej formie? Gdzieśmy wogóle byli w okresie kielkowania tych spraw?

Wypoczynek rodzicielski był źle zorganizowany, a jeśli i w tym okresie szarpaliśmy się w trudzie, to praca nasza odbywała się w niższych, mało ważnych rejonach, z przeoczeniem spraw większej wagi.

I niewiadomo właściwie, co gorzej przysłużyło się sprawie. Miłość rodzicielska, czy jej brak oczywisty?

Bo właśnie miłość każe zamykać oczy na dziejące się zło. Ślepe zaufanie w doskonałość tworu z naszej kości i krwi nie pozwala dostrzegać jego odchylenia od norm. Wierzymy w teorię, a nie dostrzegamy jej zaprzeczenia w praktyce, zamkniętej kręgiem **ślepego widzenia**. Wiemy dobrze, że chłopiec czternastoletni może już być kulturalnym człowiekiem, posiadać siłę woli, osiągnąć gospodarczą samowystarczalność, a jeśli nam Adaś rzuca ramionami, gada impertynencje, traktuje służącą, jak niewolnicę, znosi dwóje z powodu oczywistego leni-

stwa, i ciska zabłocone buty na biurko, no to przecież z tego jeszcze wyrośnie.

Rozumiemy konieczność hartowania młodzieży do pierwszych lat jej ciężkiego zarobkowania, a jeśli dostarczamy ponad siły, ponad zdrowie, ponad własne dobro Halince każdej jej zachcianki, „to jeszcze się i tak w życiu nacierpi, biedactwo”.

To miłość. „Niedobra miłość”. Za to będziemy płacić. Pochodzi nam jeszcze swemi podkutekami butami po głowach, ta przyszłość narodu!

Ale może jest gorzej, jeśli ta miłość, co drepcę w praktyce błędnymi drogami, cierpi na uwiąd. Jeśli zawczasie usuwa się z posterunku. Jeśli burzliwy napór młodości nas nie obchodzi mimo górnołotnych, tradycyjnych frazesów, naprawdę.

Jakże czystą, odważną, uczciwą być musi natura dziecka, aby sama, bez naszej pomocy wyszła na prawą drogę istnienia. To już gra na loterji. To ryzyko. I to się mści.

Zarówno w przypadku ślepej miłości, jak ślepej obojętności winę ponosi nasza niewiedza. Brak chęci, brak postanowienia, inicjatywy, poznania płaszczyzny i orbity zagadnień burzliwego przed-

wiośnia. Inercja trwania w schemacie naszej własnie, z nakazu dziejów i indywidualnych warunków innej młodości.

Poszukiwanie źródeł poznania spraw młodych w celu przymierzenia ich, przystosowania do naszego poszczególnego układu w rodzinie. Rzucenie naszych własnych doświadczeń na tło przeżyć i właściwości całego pokolenia, warunków społecznych, szkoły, metod wychowawczych i nakazów dnia dzisiejszego, chwili epokowej i historycznej, która je kształtuje.

Zdanie sobie sprawy z wpływów, które działają na nasze dziecko dla zharmonizowania z niemi, podparcia ich lub przeciwstawienia im tego, co mają, lub mieć powinny w rodzinie, to przecież bardzo pilne rodzicielskie zadania.

Dla uprzytomnienia momentu psychologicznego, pedagogicznego i życiowego epoki, na którą przypadły pierwsze loty i poślizgnięcia młodzieży szkolnej, wprowadzamy nasz dział.

Bez odważnego, uświadomionego spojrzenia w oczy rzeczywistości wziąć na siebie odpowiedzialności wychowawczej nie można.

Wanda Borudzka.

MY, NOWE HASŁA I NASZE DZIECI

I.

Nie wiem, w jaki sposób i w jakim stopniu dopomagamy naszym dzieciom w pracy ustalania w sobie pionu ideowego, my, współcześni rodzice i wychowawcy, którzy sami konsolidowaliśmy się wewnętrznie w gorącej atmosferze Polski walczącej, a teraz przeżywamy bezsprzecznie kryzys ideowy. Jakie posiadamy siły i walory jako czynnik wychowujący?

Jeżeli wyeliminujemy olbrzymią większość rodziców, zbyt nisko stojących pod względem umysłowym, albo zbyt pochłoniętych pracą, aby mogli cokolwiek dać swym dzieciom, pozostanie niewielka stosunkowo grupa tych, którzy, żyjąc świadomem życiem intelektualno-emocjonalnym, mają pewne nastawienia ideowe, lub przynajmniej do posiadania ich zdążają. W grupie tej wyróżnić musimy trzy kategorie. Pierwsza obejmuje zwolenników starych myśli, starych pojęć i wyobrażeń, którzy z tem, w czem wzrosli, zerwać nie mogą i nie chcą. Do drugiej należą nowi ludzie, którzy zdobyli się na świeżą postawę wobec zjawisk świata. Trzecia jest najliczniejsza. Należą do niej ci, którzy nie wiedzą dokładnie, czego chcą i co jest ich wiara.

W jaki sposób te trzy grupy rodzicielskie wywiązują się z pracy nad kształtowaniem pojęć swych dzieci? Najmniej wahań i trudności przeżywają niewątpliwie rodzice pierwszej kategorii. Ich poglądy są

mocne i niewzruszone, zgodne przystem z panującą budową świata, usankcjonowane przez Kościół, państwo, ustrój społeczny i prawo. Mogą urabiać młode umysły, jak chcą. Mają pełną wiarę w słuszność swych poczynań. Jedno tylko może im czasem zagrozić, jeżeli są zbyt bezwzględni i konserwatywni. Mogą stracić kontakt z własnymi dziećmi, gdy te poddadzą się wpływowi nowości.

Rodzice drugiej kategorii narażeni są na stały konflikt z otoczeniem. Wiedzą dobrze, czego chcą, i jasno mają wytknięte cele wychowawcze, trudno im tylko realizować je w poglądach dziecka, gdyż nie chcą, nie mogą, czy nie mają odwagi narażać go na przedwczesną walkę z panującą opinią. Dokładnie oświeśla to Krzywicka.

— Ach, właśnie, że nie wiem — woła — jak rozmawiać z własnym synkiem. Wychowywać dziecko pacyfistycznie i tolerować, że duch wojny wnika weń zewsząd, wychowywać areligijnie i posyłać do wyznaniowej szkoły, dawać wiadomości pleiowe i jednocześnie szeptać mu do ucha: nie opowiadaj o tem lepiej innym dzieciom z obawy, aby racjonalnie prowadzonego dziecka nie poczytano za parszywą owcę“.

Rodzice tego typu, jeżeli chcą, mogą jednak stworzyć harmonijną i gorącą atmosferę swego domu, bo wewnętrznie sami w sobie nie przeżywają rozterki.

Ale ci, którzy pragną całą duszą nowego świata, a nie zdołali jeszcze pokonać w sobie starego człowieka, są w najtrudniejszej sytuacji. Wielki, wspaniały świat leżni przed

niemi, pragną ułatwić swym dzieciom osiągnięcie go, ale wpieryw musieliby dokonać na sobie moralnej amputacji, wyciąć to wszystko, co narastało w nich w ciągu dzieciństwa i wczesnej młodości.

Zanim to uczynią, obracają się stale w kręgu wątpliwości. Jak mówić z dziećmi, co im odpowiadać na pytania? Jaką im dać wiarę? Jakich im dostarczać książek? Jaką stwarzać atmosferę w domu?

I oto zbliżamy się do zjawiska nagminnie panującego w naszych czasach. Oprócz rodziców pierwszej z wymienionych kategorii nikt z nas nie bierze na siebie odpowiedzialności za ideowe urobienie własnego dziecka, nikt nie pracuje z niem razem nad wspólnym powzięciem szczerzej wiary przekonań, nikt nie stara się wreszcie o takie nastawienie swego domu, aby rodziły się w niem samorzutnie zdrowe, piękne i silne emocje.

Współczesny dom, jako ośrodek wychowania, pozbawiony jest wszelkiej odrębności indywidualnej, wszelkiej atmosfery ideału. Jest, rzecby można, wyprany z barwy.

Atmosferą ideału nazywam przeniknięcie całego życia domu jedną jakąś wysoką myślą etyczną. Bywały kiedyś, a może i dziś są jeszcze gdzieniegdzie, domy przepojone silną religijnością. Takie skondensowanie wszystkich wzlotów ducha w jednym kierunku stawało się może czasem szkodliwe w pewnym sensie dla wychodzących z tego domu członków, ale dawało im bezwątpienia pion, charakter, swoistą własną postawę wobec zjawisk.

W czasach niewoli ułatwiało pra-

cę wychowawczą nastawienie patriotyczne każdej niemal rodziny. Dawało chłopcom i dziewczętom entuzjazm, wiarę, pobudkę w kierunku kształcenia się i hartowania, słowem stwarzało ludzi mocnej ideologii.

Obecnie typowy dom jest bezbarwny. Nie kształtuje nikogo i nie urabia. Ojciec wychodzi do biura, dzieci śpieszą do szkoły, posiłki gromadzą wszystkich koło jednego stołu, zajęcia rozpraszają ich. Rozmowy z dziećmi najczęściej są nikłe i obojętne, sceptyczne i znudzone. Od czegoż może się zapalić młodzięczy entuzjazm?

Cały ciężar pracy wychowawczej przerzuca się na szkołę. Ona ma urobić dziecko moralnie i religijnie, estetycznie, patriotycznie i państwowo-twórczo. Uważa się to za jej właściwe zadanie.

Zofja Sikorska-Bogustawska.

SIOSTRY

Z problemów rodzinnych, często bardzo zawilych i moc powikłań prowadzących do życia prakomórki społecznej, jednym z najmniej roztrząsanych, a tem nie mniej bardzo ciekawych jest wzajemny stosunek i wzajemne na siebie oddziaływanie dwu sióstr w rodzinie.

Uwagę moją nieraz zwracały stereotypowe kłótnie sióstr, ich stałe jakoby spieranie się, zmaganie, walka, pomimo zresztą wzajemnego do siebie przywiązania, tak jakby w jednej rodzinie zamało było miejsca na dwie dziewczyny, jakby dwie kobiety nie mogły wzajemnie do siebie ustosunkować się tolerancyjnie i pokojowo.

Jak dalece taki stan jest dominujący, o ile nie powszechny, ilustruje doskonale sąd naiwny pewnej kilkunastoletniej dziewczynki. Zadano jej ćwiczenie francuskie, polegające na zamianie rzeczowników męskich na odpowiednie żeńskie. W ćwiczeniu było zdanie: „un frère est un ami donné par la nature“. Dziewczynka napisała bez wahania: une soeur est une ennemie donnée par la nature“. Dziewczynka ta nie miała siostry, więc tem uważniej obserwowała znane sobie pary sióstr między koleżankami, a sąd jej był konsekwentną życiową obserwacją.

Gdyby tu zachodził poprostu fakt drobiazgowości przyrodzonej kobiet, więc i dziewcząt tem bardziej, o taką typową animozję, jaką bywa z reguły pomiędzy współzyczącami pod jednym dachem kobietami — synową i siostrą, szwagierką i bratową i t. p. — możnaby przejść nad tem do porządku dziennego, spodziewając się, że kobieta, dziś szerszym żyjącą życiem, zatraci z wolna te uje-

odne cechy, jednak, gdy chodzi o dwie siostry właśnie, konflikt jest poważniejszy i warto nad nim głębiej zastanowić się. Poważniejszy zaś ten konflikt bywa dlatego, że wyrasta z dzieciństwa i przez to wpływać musi bardzo silnie na kształtowanie się psychiki nieustalonej jeszcze obu sióstr.

Dość często trafia się, że jedna z dwu córek jest przez rodzinę (częściej przez matkę) uważana — słusznie czy niesłusznie — za miłą, lepszą, ładniejszą. Odbija się to na wzajemnym stosunku sióstr w rozmaity oczywiście sposób względnie do ich usposobień, ale zawsze przynosząc obustronna szkodę. Faworyzowana od dziecka rośnie w pychę i egoizm, domagać się będzie potem na świecie swoich urojonych praw do pierwszeństwa; najrzadziej znowuż pokrzywdzona podda się w pogodzie swojemu losowi Kopciuszka, dopiero w późniejszym życiu spostrzegając się, że przecież i ona nie jest zupełnym zerem. Częściej dziewczyna energiczna popada w bunt, w rozgoryczenie, a niekiedy w klasyczna wprost nienawiść do krzywdzicieli i do uzurpatorki rodzicielskiego serca. Istota o usposobieniu biernem pograża się w cichą melancholję, przeżywając niekiedy moralne udreki naprawdę tragiczne, wiodące do zupełnej utraty wiary w siebie, a bywały wypadki i samobójstwa na tem tle.

Niekiedy sama natura zdaje się rzucać kość niezgody pomiędzy dwie nierówno — czasem zresztą tylko pozornie nierówno obdarowane przez siebie młode dziewczęta, a wtedy rozgrywa się czasem typowa „walka o byt“ pomiędzy obiema tak bliskimi sobie istotami.

Wystarczy nierzadko już to samo, że jedna z dwu sióstr jest ładna, ma mir w domu, powodzenie u ludzi, idące wślad za pewnością siebie, druga gaśnie w jej cieniu, skazana na rolę wyblakłego księżycy słoneczności swej siostry-rywalki. Gdy do tych przywilejów zewnętrznych przyłącza się jeszcze walory psychiczne, jak żywy temperament, wesołe usposobienie, zdolności szkolne i t. p. druga siostra poprostu już nietylko zejść musi na drugi plan, ale zanika, ginie jak słabsza, a w istocie rzeczy czasem wartościowsza roślina w cieniu rozrastającego się chwastu. Obie te zresztą siostry mogłyby, każda z osobna, być uważane za jednostki dodatnie, — bliskie sobie, wzajemnie sobie szkodzią, a szkodzą do tego stopnia, że jedna conajmniej nietylko karłowacieje, ale poprostu moralnie załamuje się.

Najostrzejszą formę taki stan rzeczy przybiera zwykle w czasie, gdy młoda dziewczyna, wyrastając z dzieciństwa, dojrzewa do autoob-

serwacji, do krytycznej oceny siebie samej, wszystkich i wszystkiego dookoła. I wtedy to konflikt, trwający od nie wiadomo kiedy, a dotąd nie dostrzegany, nagle się przejawia, doprowadzając do tragicznych nawet scysyj.

Nieraz jeden zdarzało mi się spotkać młodą dziewczynę całkiem normalną, zdrową, przystojną i zdolną z cechą zdumiewającej w tych warunkach depresji moralnej, z głębokiem przeświadczeniem o bezwartościowości własnej, o tragicznej predestynacji do niepowodzeń, o nieuleczalnym upośledzeniu. Przy bliższem zbadaniu okazywało się, że ten stan autosugerowanej dewaluacji pochodzi z czasów dzieciństwa, kiedy porównanie — skala oceny — z istotą najbliższą i współzyczącą codziennie — z siostrą — uznane zostało jednomyślnie za ujemne dla tej drugiej upośledzonej, bezwartościowej siostry: Nie trzeba dowodzić, że takie, wżarte w podświadomość przeświadczenie o sobie ma wszelkie dane po temu, aby czasem przeistoczyło się z fikcji w rzeczywistość, stając się kamieniem węgielnym rzetelnego nieszczęścia ludzkiego, tembardziej, że zazwyczaj takie istoty zgębnione i upokorzone we wczesnem dzieciństwie bywają bardzo skryte i niełatwo jest z nich wydobyć ich „hańbiącą“ tajemnicę, niełatwo też rozwalić gmach zwartej autosuggestji.

Gdy więc rodzice dostrzegą nie już zwykle przygodne poswarki u dwu córek swoich, nie tarcia pochodzące z nieoszlifowania indywidualności obu, tylko bądź niustającą waść, bądź opanowanie zupełnie jednej przez drugą, najlepiej uczynią, nie lekceważąc tego stanu rzeczy i, o ile można, obie siostry rozłączą. Wśród nowego otoczenia ta, którą gnębiła moralna przemoc silniejszej indywidualności, odetchnie pełną pierśią i spostrzeże zazwyczaj, że nie zawsze i nie wszędzie musi być skazana na bytowanie w cudzym cieniu, na podkreślanie cudzych splendorów ubóstwem własnem. Wtedy najczęściej odnajdzie siebie i pójdzie drogą swego indywidualnego rozwoju.

Naturalnie nietylko pokrzywdzonej, ale i bezwiednie nieraz krzywdzącej na korzyść wyjdzie, gdy straci z dosięgu swą ofiarę i poszuka na szerszem polu porównań, a z nich skali do ocenienia siebie.

Takie rozdzielenie dwu istot, bliskością swoją przynoszące sobie wzajem szkodę, podobne będzie wyczynowi rozważnego ogrodnika, który dwie pożyteczne rośliny rozsadza tak, by obie mogły dojść do pełni rozwoju, nie zabierając sobie wzajemnie słońca i życiodajnych soków.

M. Benistarska.

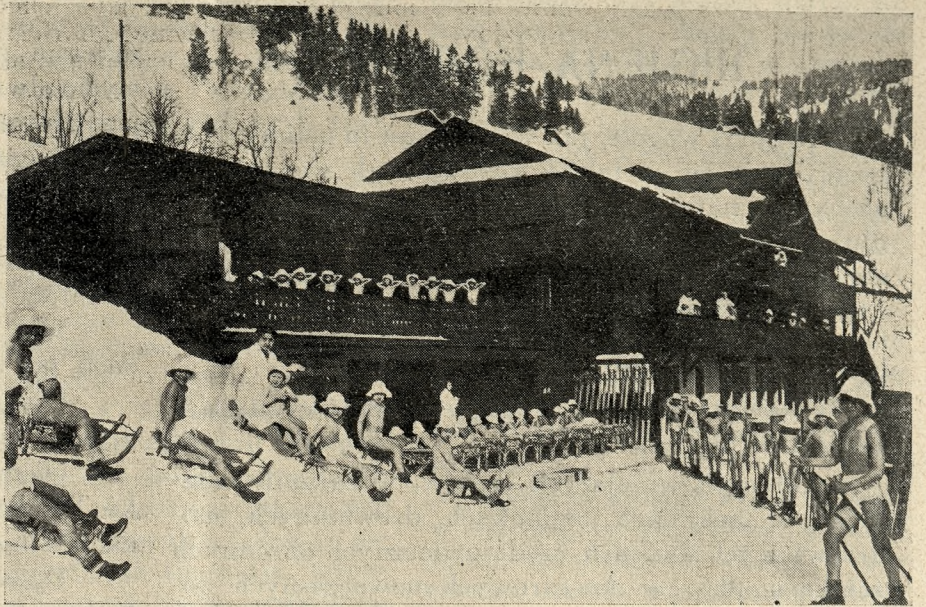
SŁONECZNA SZKOŁA

Wśród śniegów Alp szwajcarskich, na wysokości około 1.000 m. nad poziomem morza, znajduje się słoneczna szkoła.

Uczniowie „Ecole de Soleil“ D-ra Rollier w Cergnat sur Serpey w dolinie Ormont wygrzewają się w promieniach wyjątkowego słońca, które dochodzi bezpośrednio do ich organizmów.

Przyjeżdżają do tej szkoły dzieci słabe i skłonne do chorób płucnych, a wyjeżdżają mocne, zdrowe i zahartowane. Wyniki najnowszych doświadczeń medycznych służyły wytworzeniu specjalnych systemów, według których wzmacnia się wątłe organizmy.

Tak więc nawet najmroźniejsze dni zimowe spędzają dzieci na igraszkach nad morzem. Zabawny widok przedstawia ta chmara dzieci, ubranych tylko w kąpielowe majteczki, trepki i okrągłe, białe kapelusiki, a czasem nawet zupeł-



Wychowankowie „słonecznej szkoły“ werandują i bawią się w polokach wysokogórskiego słońca.



nie bosy, rozciągniętych na płóciennych leżakach. Tylko nierozłączny kapelusz chroni od niebezpiecznych, bo ostrych i wyźnnych promieni słonecznych.

Nic więc dziwnego, że dzieci tak zahartowane nie marzną nawet wtedy, kiedy rtęć na termometrze opada poniżej zera.

Dzięki zahartowaniu sama skóra nie reaguje na niższą temperaturę.

Tylko, gdy podczas lekcji, które zresztą też odbywają się na świeżym powietrzu, dzieci kładą skarpetki i sandały, a zato mogą zdjąć kapelusze.

Przyjemne są te lekcje, odbywające się w obliczu niebotycznych gór. Ale najmilej jest po skończonych zajęciach szkolnych, kiedy dzieci idą na spacer i wycieczki; na sankach i nartach zjeżdżają ze stromych zboczy. A ile radości przynoszą często urządzone zawody łyżwiarskie i narciarskie. Niektóre dzieci wędrują na wysokie zbocza, niosąc ze sobą ławki szkolne. W ten sposób nawet podczas godzin nauki są wystawione na lecznicze promienie słoneczne.

Skutki tej słoneczno-powietrznej kuracji pozostają długo. Wychowankowie radosnej szkoły po powrocie do domu są zahartowani na wszelkie zmiany temperatury i rzadko się przeziębiają.



HIGJENA KOBIETY

Higjena wogóle, jak wiemy, jest to umiejętność postawienia się w takich zdrowotnych warunkach, ażeby jak najmniej podlegać chorobom, a jak najdłużej utrzymać na wysokim poziomie swoje siły fizyczne, i na długie lata zachować poczucie młodości i tężyzny cielesnej.

Duże różnice w budowie anatomicznej, fizjologii i przeznaczeniu kobiety, nadały jej życiu cechy swoiste i stąd wynikające niektóre odrębne wskazania higieniczne.

Od najdawniejszych czasów, w zaraniu ludzkości, w jaskiniach, lepiankach, drewnianych, morderzewiowych dworach, średniowiecznych obronnych zamkach, czy w koszarowych nowoczesnych domach, kobieta zawsze była i jest matką.

Ta cudowna zdolność jednocześnie czyniła z niej istotę słabszą, która musiała być ochraniana przez wzgląd na przyszłe pokolenia.

Mężczyzna walczył, zdobywał i otaczał opieką swoje ognisko domowe, kobieta życie ludzkości przedłużała w nieskończoność.

To jej odwieczne, wielkie przeznaczenie zaciężyło na niej całą siłą, przytłumiając w niej inne cechy człowieka.

Wyłom czyniły wojny i dawniej, jednak ostatnia, wielka europejska wojna była huraganowym wstrząsem dla losów kobiety.

Wyrzucona z zacisza domowego pierwszym wystrzałem armatnim, zdobywa te wszystkie rynki pracy, które musiał porzucić mężczyzna, idąc na wojnę, a przedewszystkiem reformuje swoje długie, niewygodne, ciasne i wywołujące choroby ubranie.

Obcina włosy, skracca suknie, odrzuca gorset i ciasny kołnierzyk i staje swobodna do pracy.

Ubranie kobiety z doby dzisiejszej, to olbrzymi skok naprzód w jej higjenu, omawianie jednak szczegółowe tego przedmiotu musi być treścią oddzielnego artykułu.

Używanie większej ilości wody, powietrza i słońca jest wielkim atutem całej ludzkości bez wyjątku, natomiast w dziedzinie ćwiczeń cielesnych dla kobiety istnieją pewne zastrzeżenia.

Przedewszystkiem tyczy się to wyboru ulubionych sportów. Popieram w całej rozciągłości ślizgawkę i narty zimą, tenis, wiosłowanie i pływanie latem, wreszcie lekkoatletykę, jednak boks z możliwością uderzenia w gruczoł piersiowy, czy w narządy jamy brzusznej i piłka nożna, powinny być wykluczone ze sportów kobiecych. Pochylona postawa na rowerze dla osób o wąskiej klatce piersiowej i skłonnych do zmian w płucach także nie przynosi nic pożytecznego. Wszelkie sporty muszą być przerwane w czasie krwawienia miesięcznego.

Tu dochodzimy do tej dziedziny higjenu, która stanowi dla niewiast odrębny rozdział, do higjenu jej narządów kobiecych.

Już od wczesnego dzieciństwa musi być w tym

zakresie przestrzegana wzorowa czystość, a więc mycie dwa razy dziennie ciepłą, albo, zależnie od przyzwyczajenia, chłodniejszą wodą.

Baczną uwagę musi być zwrócona na naczynia, służące do zabiegów higienicznych i na zdrowie otoczenia. Specjalnie dziewczynki (dużo rzadziej chłopcy) są bardzo skłonne do zarażenia się chorobami infekcyjnymi tych narządów.

Winy należy się zawsze doszukiwać w błędach, lub nieświadomości otoczenia.

Niekiedy rodzice zdrowi zdumiewają się, skąd dziecko mogło nabyć podobną chorobę.

Okazuje się często, że zarazek przyniosła niania, lub bona, że ktoś ze służby używał pokrywom naczyni higienicznych dziewczynki.

Dziecko musi mieć wszystko dla swojego wyłącznego użytku, nie wyłączając naczyń najpierwszej potrzeby. Wszelkie obfitsze, podejrzone wydzieliny muszą być badane przez lekarza.

Pomiędzy 13 a 18-tym rokiem życia, zależnie od klimatu, dziewczynka dojrzewa.

Okres dojrzewania dziewczynki jest okresem, pełnym trudności dla wychowawców. Krwawienia miesięczne, przez pierwsze okresy przeważnie nieustalone, czasami bywają bardzo obfite, wycieńczające i grożące wywołaniem bezkrwistości, to znów przechodzą tygodnie i nie pojawiają się zupełnie.

Gruźlica, która nie oszczędza żadnego wieku, czyha na organizmy młodociane wieku przejściowego, wyczerpane szkolną pracą.

A jednak należy pogodzić ciężką pracę w szkole ze wzrostem i dojrzewaniem.

Co wybrać? Czy pozwalać młodemu organizmowi więcej wypoczynku w tym wieku, czy popędzać do pracy?

Ten problem trzeba rozwiązać na korzyść wypoczynku. Wątpliwa, anemiczna dziewczynka powinna raczej powtórzyć jakąś klasę, ale obfite krwawienie miesięczne musi przepędzać w łóżku i musi dostatecznie się wysypiać.

Zagadnienie czystości jest to samo dla dziewczątka, co dla dziecka, zresztą będzie się przewijało przez wszystkie okresy życia kobiety.

Pomiędzy 18-ym, a obecnie bardzo różnym (aż do 50-go włącznie) rokiem panna wychodzi za mąż i tu spotykają ją wszystkie przykrości pożycia małżeńskiego. Czystość i umiarkowanie ustrzegą mążką od wielu czerni na jej drodze. Niezbędnym zabiegiem higienicznym w tym okresie życia są przepłókiwania, polecane po każdym krwawieniu miesięcznym po obcowaniu fizycznym. Co do częstości przepłókiwań istnieją rozmaite poglądy: za częste, wywołują katary błon śluzowych.

Higjena ciąży, porodu i położu to już jest sprawa lekarza specjalisty. W tym okresie życia kobieta musi być pod stałą jego opieką.

Oto pobieżny szkic higjenu kobiety. Wszelkie poruszone w nim zagadnienia omówimy szczegółowiej w całym cyklu poszczególnych artykułów.

Dr. med. Rygiel-Cękańska.

SZANUJMY SERCE!

„Panie doktorze, wiem, że moje cierpienie wymaga dłuższego leczenia. Zapewnia mnie pan, że odzyskam zdrowie. Ale jak pan znalazł przy sposobności moje serce?”

I teraz dopiero w głosie pacjenta zabrzmiała nuta prawdziwego niepokoju. Oto trwożne pytanie, które tak często pada w gabinecie lekarskim. Słusznie jest rozpowszechnione mniemanie, że wiele chorób gorączkowych, atakujących ostro organizm, z niebywałą siłą znosi człowiek zwycięsko, o ile jego serce wykonywa swe zadania nienagannie.

Tymczasem ze smutkiem należy stwierdzić, że zapadalność na choroby serca wzrasta. Zwłaszcza **dusznica bolesna (angina pectoris)**, będąca konsekwencją stwardnienia tętnic odżywczych serca, zaczyna w latach powojennych szerzyć się ze wzmożoną intensywnością w oświeconych warstwach społeczeństwa.

Jakież są tedy przyczyny, które wywołały wzrost zachorowań na dusznicę i wogóle te choroby serca, które nie są rezultatem jakiegoś przypadkowego zakażenia, najczęściej reumatycznego, lecz raczej wyrazem przedwczesnego zużycia się narządu krążenia. Niewątpliwie nadużywanie alkoholu i palenie tytoniu odgrywa tutaj dość poważną rolę. Dotychczas statystyki, zebrane przez różnych autorów, mniej więcej zgodnie opiewają, że mężczyźni nie chcą ustąpić pierwszego miejsca kobietom co do zapadalności na choroby serca. Jednak wielkie statystyki siłą rzeczy opierają się na danych, zebranych z dłuższego okresu czasu, a więc fundamentem ich są lata dawniejsze, w których kobieta pędziła zupełnie inny tryb życia. Teraz konsumpcja alkoholu i tytoniu w młodszej generacji niewiele się wzrosła znacznie; jak się zdaje, panie postanowiły w przyspieszonym tempie odrobić zaległości z lat minionych. Ciekawe, jak to się odbije na statystykach przyszłości.

Bez wątpienia jednak alkohol, tytoń i inne używki nie zamykają łańcucha szkodliwości, od których roi się życie nowoczesne. Czyżby nie należało zwrócić uwagi na fakt przesylenia powietrza wielkich miast gazami spalinowymi motorów? Rzeczywiście, mieszkańcy Stan. Zjedn. A. P., kraju pierwszego w świecie co do liczebności pojazdów motorowych, zapadają na

przykład na dusznicę bolesną daleko częściej od Europejczyków. Doświadczenia, dokonane przez Payra na zwierzętach, potwierdzają, jak się zdaje, słuszność tych przypuszczeń.

Zwierzęta doświadczalne przebywały w pomieszczeniach, zawierających pary benzyny i benzolu. Po pewnym czasie krew ich nabierała własności, sprzyjających tworzeniu się zakrzepów w naczyniach krwionośnych.

Jednakowoż za najważniejszy czynnik w powstawaniu omawianych przez nas chorób serca (z. p. wśród których przedewszystkiem mamy na myśli dusznicę bolesną) należy uważać, jak się zdaje, wzmożoną aktywność życia współczesnego. Żyjemy obecnie gorączkowo i gorączkowo korzystamy z każdej sposobności, aby pomnożyć nasze zasoby materialne. Wykształcenie ogólne i specjalizacja zawodowa przedstawiciela klasy inteligentnej trwa bardzo długo, a przez pozostałą część życia stara się on w gorączkowym pośpiechu wycofać wraz z solidnymi odsetkami kapitału, włożony w swoje wychowanie i wykształcenie.

W niepohamowanym pędzie do zdobycia środków na życie i użycie nie mamy litości dla własnego systemu nerwowego, który zużywa się szybko, niczem motor aeroplanu, stojącego do rekordu nieprzerwanego lotu.

Niestety, dość trudno jednostce izolować się od szkodliwości, wytwarzanych przez współczesne życie zbiorowe. Gdyż zwolnienie tempa pracy pociąga często za sobą, jako skutek, wyprzedzenie przez innych, co grozić może wyrzuceniem poza nawias społeczeństwa. Instyngt samozachowawczy nie pozwala więc nam wyłamać się indywidualnie z pod ogólnie przyjętych warunków pracy.

Jednakże czas, przeznaczony na wypoczynek, do nas wyłącznie należy. Od nas też jedynie zależy, jak go najlepiej wyzyskać na uzupełnienie rezerw życiowych. Inteligent powinien pamiętać o tem, aby rozrywki, którym w chwilach wolnych się oddaje, dostarczyły jak najlepszego wypoczynku jego zmęczonemu mózgowi. Czyż odpowiedniem wytchnieniem dla pracownika umysłowego jest, jak to się obecnie praktykuje, wielogodzinna partja brydza zamiast codziennej przechadzki, czy też lekkich ćwiczeń cielesnych? A oto znów inny przykład. W mieście rozplywamy się przez większą część roku w sy-

barytyzmie. Gdy jednak zdarzy się nam wyjechać, dajmy na to, do Zakopanego, wpadamy niespodziewanie w szal sportowy. Chodzi przecież o jak najintensywniejsze wyzyskanie krótkiego pobytu w górach. Wystawiamy się więc odrazu na działanie w ciągu dłuższego czasu silnego słońca górskiego, pragniemy bez przedniego przygotowania odbywać dłuższe wycieczki i t. p. A serce, nie przywykłe do wzmożonego ruchu, mocuje się z włożonemi nań zadaniami, jak koń z niebotycznie naładowanym wozem.

Stanowczo długość życia naszego w znacznej mierze zależy od umiejętnie wyzyskanych chwil wypoczynku. A do was, Panie, należy kultywowanie w rodzinie znaczenia higieny wypoczynku!

Omówić jeszcze musimy tak często roztrząsany dylemat: czy spoczynek poobiedni przynosi korzyść, czy też szkodę? Odpowiedź dać nam winna krytyczna samoobserwacja po przyjęciu obfitszego posiłku. Jeżeli ogarnia nas nieprzewyciężona senność, to skąd ona pochodzi? Pochodzi to uczucie stąd, że stopień napełnienia krwią narządów trawiennych, gdy po przyjęciu posiłku przychodzi na nie czas wzmożonej działalności, powiększa się znacznie. Tymczasem organizm ludzki nie posiada znów tak wielkich zapasów krwi rezerwowej. Potrzebna do intensywnego trawienia dodatkowa ilość krwi musi być zapożyczona z innych odcinków. Powstaje więc pewnego rodzaju „pustka” w mózgu i mięśniach. Stąd prosty wniosek, że podczas trawienia mózg i mięśnie powinny mieć spokój. Krótki, 15-minutowy sen poobiedni może być uważany za fizjologiczną potrzebę organizmu, zajętego trawieniem. Wystrzegajmy się jednak szablonu. Kto nie odczuwa wyraźnej senności po obiedzie, nie potrzebuje zmuszać się do snu; wystarczy półgodzinny spokój, który można wypełnić np. słuchaniem t. zw. przyjemnej muzyki.

Być może, nie będzie potrzebował uciekać się do snu poobiedniego zwolennik daleko posuniętego umiarkowania w jedzeniu. Albowiem trawienie jest nie tylko pracą dla przewodu pokarmowego; obciąża ono poważnie serce, a, powodując ociążałość fizyczną, zniechęca do tak pożytecznych, codziennych ćwiczeń cielesnych, jak przechadzka, lekki sport i t. p. Lekkie trawienie ułatwia nam należyte wyzyskanie chwil wypoczynku.

Dr. J. Trzebiński.

Z TEATRÓW

„Aszantka” Perzyńskiego i „Czwarty do brydża” Grzymały-Siedleckiego.

Trzydzieści lat dzieli te dwie sztuki, a wyglądają, jakby pochodziły z jednej epoki. Może to sprawia jednakowy anachronizm problematów, w nich poruszanych, może bliźniacze podobieństwo typów męskich z kategorii „Połaniecki”. Dość, że obydwie sprawiają wrażenie życiowo zdevaluowanych, artystycznie przestarzałych, a w wielu momentach sytuacyjnie sztucznych, co gorzej, niesmacznych.

„Aszantka”, to dzieje przedwojennego złotego młodzieńca, materialnie i moralnie zrujnowanego przez kokotę. Rzecz zwykła. To należało przecież poniekąd do zasad dobrego wychowania t. zw. wyższych sfer fin de siècle'u. Oryginalność i nowość sytuacji polega na tem, że młodzieńczyk Łoński bynajmniej nie wpada w sidła zawodowej kapłanki miłości, ale sam ją sobie urabia z następczej mu przez barona-pieczemiarza półdzikiej dziewczyny (Aszantki) z Powiśla. Los zemścił się na nieudolnym Pigmaljonie. Jego Galatea zdradza go najordynarniej w świecie z kelnerem, który widzi w niej nie kochankę, ale... żywy towar.

Dotąd wszystko w porządku. Jesteśmy świadkami poglądowej lekcji „życia świadomego” dla przedwojennych młodzieńców. Dzisiejszy sprawę tę rozstrzygnąłby znacznie prościej. Poco mam płacić ordynarnej dziewczce, kiedy mogę mieć za darmo inteligentną, wytworną i subtelną żonę, kochankę, towarzyszkę, co chcąc.

Nieudały Pigmaljon przedwojenny był jednak urodzonym fuszerem. Kiedy go zdradziła kochanka, chciał ją naprzód zabić, ale źle strzelał, potem zabić siebie, ale mu zabrakło nabojów, więc schował rewolwer do kieszeni, a potem, kiedy „mu wychłódło”, a majątek djabli wzięli, został... jednym z impresarjów wprowadzo-

nej już doskonale w półświatek kokoty.

Marny to chleb, szczególnie dla niefachowca, któremu kolaczą się jeszcze po duszy jakieś niedawne jeszcze tradycje wielkopańskie. Pigmaljon utrzymuje się jeszcze jakiś czas na powierzchni dzięki grze w totalizatora (pod tym względem nic się i dzisiaj nie zmieniło), ale wreszcie, gdy Galatea zamiast dwudziestu rubli z królewskim gestem pożyzyła mu dziesięć, tak się poczuł dotkniętym, że dopiero teraz palnął sobie w łeb.

Ale i tu wylazł urodzony fuszer. Źle wybrał moment. Aszantka - Galatea wybierała się właśnie na kolację z nowym protektorem i nie miała czasu go oplakiwać.

Ten ostatni okres marnego żywota Łońskiego jest mocno ciągnięty za włosy. Bo, o ile często się zdarzało, że panowie z arystokracji i ziemiaństwa rujnowali się na kookty, o tyle do wyjątkowych chyba wypadków należało, żeby później zerowali na ich karierze, pozostawiając ten proceder „fachowcom” w rodzaju kelnera Franka. I dlatego wskrzeszenie „Aszantki” w epoce, kiedy ziemiaństwo stoi na brzegu przepaści, nie dzięki własnym, dawnym grzechom, ale wskutek systemu ekonomicznego, nękania i dającego zzewnątrz, wygląda na przykrą i nietaktowną ekshumację.

Ma się wrażenie, że teraz dopiero po- grzebano Perzyńskiego na dobre, czyniąc



„Czwarty do brydża” Grzymały Siedleckiego. Znicz i Jezierska.

go rapsodem przebrzmiałego wczoraj. Kiedy ze sceny padają takie rozmówki, jak np.: „miałam hrabiego, teraz mam margrabięgo, a jak się nazywa ten najbogatszy? — Ordynat”, — sala wybucha śmiechem, do tego stopnia bogactwo ordynata wydaje się dziś paradoksalnym.

Cały przepych sztuki polega właściwie na tych anachronizmach, uwidocznionych zresztą bardzo starannie przez reżyserję w urządzeniu przedwojennego saloniku (lampy naftowe i świece, albumy pluszowe i pocztówki na ścianach) i w dokładnej rekonstrukcji mód z roku Pańskiego 1900.

Tytułową rolę grała Eichlerówna, znana już publiczności warszawskiej ze świetnych kreacji we „Fräulein Doktor” Tepy. Jako „Aszantka” uwydatniła może nadmiernie brutalność i chamstwo, za mało włożyła w tę rolę kobiecości i finezji, której bynajmniej nie jest pozbawione to „stróżowskie dziecko”.

Rola Łońskiego była najfalszywiej obsadzona i zagrana przez Kreczmara. Grabowski dał świetny typ z kolekcji karykatur Kostrzewskiego. Resztą nie wyszła poza szablony.

„Czwarty do brydża” — Grzymały-Siedleckiego należy do sztuk o bardzo wysokiej paranteli, a o zgola wątpliwym przydziale. Tłuką się po niej echa Ibsena, Fredry, Sienkiewicza, a w rezultacie z tych reminiscencji i pomysłów własnych wychodzi melodramat, pozbawiony realnych



„Aszantka” Perzyńskiego. Justjan, Tatarkienicz-Woskowska i Eichlerówna.

podstaw, a zatem niejako zawieszony w próżni.

Zagadnienie, czy romanse rodziców mogą być przeszkodą do małżeństwa dzieci wogóle nie jest zagadnieniem, z chwilą gdy wiadomo, że dzieci nie są ze sobą ani formalnie, ani faktycznie spokrewnione.

Zapewne nie należy do najmilszych epizodów w sielance młodej pary narzeczeńskiej odkrycie, że ojciec panny romansował kiedyś z mamą kawalera i że to pociągnęło tragiczne konflikty w obydwu rodzinach, ale robić z tego sprawę niemal hamletowską, to zakrawa co najmniej na przesadę. Przytem kompozycja sztuki jest niezrównoważona. Przerzuca

się z płaszczyzny na płaszczyznę. Skeczowy supelek zadzierzga się w ponury węzeł dramatyczny, a potem rozłazi się po kościach w mieszczańskim happy end'zie. Co gorsza, efekty, jakimi posługuje się autor, ażeby unaocznić nam drastyczność sytuacji, nie należą do wybrednych. Scena, kiedy ojciec panny pokazuje fotografie swojej byłej kochanki jej synowi, a swemu przyszłemu zięciowi, opatrując je przytem wymownymi komentarzami, jest jedną z najbardziej niesmacznych scen, na jakie zdobyła się polska literatura teatralna.

Jedyną żywą, choć mocno przerysowaną, figurę „papusińskiego“ zagrał z wła-

ściwem napięciem Różycki. Para chorobliwych narzeczonych reprezentowana była przez widmowe postacie Jezierskiej i Ziemińskiego. To były dwa chodzące paragrafy cnót, rodzinnych i uczuciowej drażliwości, pozbawione ciała i zdrowego sensu.

Znicz, jak to Znicz. W roli przyjaciela, powiernika i rezonera płonął tak nikłym ognikiem, jak staroświecki knotek w nocnej lampie.

Całość przedstawienia przesycona była dusznym zapachem niewywietrzanej od trzydziestu lat małżeńskiej alkowy. Więcej wentylacji, panowie, więcej wentylacji!
S. P. O

ZE SPORTU

ŁYŻWIARZE śląscy w Warszawie

Dn. 13 i 14 b. m. na torze Doliny Szwajcarskiej odbyły się wobec wyjątkowo licznie zgromadzonej publiczności ciekawe pokazy w jeździe figurowej z udziałem ekipy śląskiej. Startowało około 18-tu zawodników i zawodniczek, wykazując wysoki poziom techniczny i piękny styl. Wśród juniorów wyróżnili się szczególnie rodzeństwo Kalusowie (13 i 15 lat) w jeździe parami. Swoboda, lekkość i wykończenie figur wróżą tej młodziutkiej parze zawodników znakomitą przyszłość. Entuzjastyczne oklaski zbierał Grobert za swą brawurową, efektowną jazdę i elegancki styl, który przypomina produkcje mistrza

świata Schaeffera. Pięknie wykonana „spirala śmierci“ pp. Żmudzińskich dowiodła, jak zasłużony był sukces tej dobrze opanowanej technicznie pary śląskiej na międzynarodowych zawodach w Zakopanem.

Poza konkursem startował mistrz Polski Iwasiewicz, którego produkcje, idealnie wykończone, wypadły jak zwykle imponująco. Zdziwienie wśród publiczności wywołały dość liczne upadki zawodników, które tłumaczą się odrębnymi właściwościami lodu warszawskiego i katowickiego. Lodowisko sztuczne jest bardziej miękkie od naturalnego i łyżwiarze śląscy mieli duże trudności, popisując się na bardzo twardym i ostrym lodzie Doli-

ny. W tem leży też przyczyna nieszczęśliwego wypadku, jakiemu uległa mistrzyni Polski, Popowiczowa, już w pierwszym pokazów. Podkreślić trzeba, że pomimo silnego bólu, wywołanego pęknięciem otrzewnej, ambitna i dzielna sportsmenka dokończyła swoich produkcji, lecz smutny ten wypadek stawia oczywiście pod znakiem zapytania najbliższy okres jej sportowej kariery.

W nadchodzącą niedzielę odbędą się na torze Doliny okręgowe mistrzostwa w jeździe figurowej, które znowu zgromadzą setki widzów, żądnych wysoce estetycznych wrażeń, jakich bezsprzecznie dostarcza sport łyżwiarski.



Mistrzynie Polski p. Popowiczowa (Katowice) w pięknym piruecie.



Popisy młodocianej pary śląskiej — rodzeństwa Kalusów w Dolinie Szwajcarskiej.

Ś. P. HELENA PADEREWSKA

Wspomnienia pośmiertne.

Dnia 16 stycznia b. r. zmarła w Riond Bosson Helena z baronów Rosenów, Ignacowa Paderewska.

Matka ś. p. Heleny Paderewskiej była Greczynką. Zmarła, licząc zaledwie 18 lat, a wychowaniem ś. p. Heleny zajęła się jej babka Rucińska. W Warszawie, w domu babki ś. p. Paderewska wzrastała w atmosferze polskości i katolicyzmu.

Pierwszym jej mężem był znany artysta skrzypek, Władysław Górski.

W 1899 r. Górski wyszła powtórnie za mąż za mistrza Ignacego Paderewskiego i odtąd, przez lat zgorą trzydzieści, była nieodstępną towarzyszką męża w podróżach artystycznych i działalności publicznej. Najchętniej jednak przebywała w uroczej willi w Morges we francuskiej części Szwajcarii, gdzie założyła dużą hodowlę kur, osobiście przez nią dozorowaną, oraz gdzie odbywały się stale kursy dla dziewcząt.

Do wyzwolonej Polski przybyła wraz z mężem w dn. 1 stycznia 1919 roku. Po objęciu przez Ignacego Paderewskiego stanowiska premiera ś. p. Helena Paderewska oddała się pracy społecznej. Była założycielką Polskiego Białego Krzyża oraz prezeską Polskiego Czerwonego Krzyża.

Zajęła się losem biednej inteligencji, przyczyniając się do powstawania schronisk dla starców, jak również fundując szkołę gospodarczą w Julinie. Za czyny miłosierdzia chrześcijańskiego Ojciec św. odznaczył ś. p. Helenę Paderewską krzyżem „Pro Ecclesia et Pontifice”.

Ś. p. Ignacowa Paderewska już oddawna zapadała na zdrowiu, a od 2 lat przebywała w jednym z sanatorjów szwajcarskich, gdzie zmarła, przeżywszy lat 74.

Pogrzeb odbył się 10 stycznia. Trumna ze zwłokami ś. p. Paderewskiej spoczęła w Montmorency pod Paryżem.

Cmentarz w Montmorency, nazywany popularnie polskim, posiada liczne tradycje, związane z wielką emigracją. Znajduje się tam przeszło 100 grobowców polskich z grobami rodziny Mickiewiczów, Niemcewicz, Kniaziewicz i wielu innych.

Na uroczystości żałobne przybyli z Paryża ambasador Chłapowski z żoną, pierwszy radca ambasady min. Müllstein, wielu osobistych przyjaciół rodziny Paderewskich oraz liczni przedstawiciele sfer politycznych, artystycznych i prasowych Polski.

Nabożeństwo żałobne odprawił ks. kanonik Guignard w otoczeniu duchowieństwa. Poczem kondukt, prowadzony przez ks. Syskiego, wyruszył na cmentarz, gdzie liczne wieniec pokryły mogiłę zmarłej.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA

Bezterminowe odroczenie Konferencji Rozbrojeniowej. — Mocarstwa rozciąły w obronę Austrię. — Kompromis w sprawie Zagłębia Saary zasługą min. J. Becka. — Skandale w parlamencie francuskim. — Znowu wojna japońsko - chińska!

Bez wielkiego rozgłosu, niemal wstydliwie Konferencja Rozbrojeniowa w Genewie uchwaliła bezterminowe odroczenie, oświadczając, że „państwa powinny przedsięwziąć równoległe i dodatkowe wysiłki dla zmniejszenia rozbieżności”. Sprawa rozbrojenia przeszła więc na metody „dyplomatyczne”, do których oczywiście należą także „gęste” noty, kursujące między Francją a Niemcami. Do jakich wyników doprowadzi ta korespondencja, trudno narazie przewidzieć. To jednak jest pewne, że Niemcy hitlerowskie nie doznały poparcia Italji w sprawie innej, niemniej dla Niemiec ważnej, mianowicie w sprawie Austrii.

Pisaliśmy już na tem miejscu o dążeniach Niemiec, o brutalnej agitacji i agresywnych metodach hitleryzmu w Austrii. Broniąc się przed zabobrością Rzeszy, kanclerz austriacki, Dollfuss, zreorganizował ustrój swojej republiki na modłę faszystowską, zjednując sobie w ten sposób Italję. Takie rozumowanie byłoby jednak zbyt powierzchowne. Italja podała dziś rękę Austrii z przyczyną bardzo ważkich. Trudno bowiem przypuścić, żeby Mussolini pragnął „Anschlussu” Austrii do Niemiec i bezpośredniej tem samem granicy z Niemcami. Sprawa niezależności republiki austriackiej leży również na sercu Francji i Anglii. Chodzi przecież o zachowanie stanu rzeczy nad Dunajem i o byt tych państw, które powstały po rozpadnięciu się dawnej monarchji Austriacko-Węgierskiej, w pierwszym rzędzie o Czechosłowację. Wizyta włoskiego podsekretarza stanu, Suivicha, w Wiedniu ujawniła tendencje mocarstw, przeciwstawiające się ekspansji Berlina.

Zwycięstwo polityczne małej republiki austriackiej, broniącej się dzielnie przed Berlinem, ma dziś szczególne znaczenie. Niemcy będą musiały zrozumieć, że państwa Europy nie zgodzą się na zmianę karty politycznej i że postanowienia pokoju wersalskiego jeszcze obowiązują.

Z tego faktu wyniknie jednak i to, że Niemcy całą swoją uwagę skoncentrują na kwestje sporne z Francją, a cały swój wysiłek na przygotowanie plebiscytu w Zagłębiu Saary. Sprawa tego plebiscytu, względnie przygotowania go, była dyskutowana na ostatniej sesji Ligi Narodów w Genewie. Sesji tej przewodniczył polski minister spraw zagranicznych, p. Beck, i jego zasługą jest, że osiągnięto kompromis w sprawie plebiscytu. Kompromis ten, dający zadośćuczynienie Francji, zapobiegnie temu, aby niemieccy narodowo - socjaliści wprowadzili w Zagłębiu swój system agitacyjny.

Notując wydarzenia z ubiegłego tygo-

dnia, nie możemy ominąć sprawy Stawiskiego, wciąż jeszcze wzbudzającej umysły we Francji. Podniecenie, przeniesione na teren parlamentu, stało się przyczyną skandalicznych scen, świadczących nie tyle o temperamentach francuskich mężów stanu, co o ich złych obyczajach i niezbyt czystym sumieniu. Afera Stawiskiego, spowodowawszy rekonstrukcję gabinetu francuskiego, pociągnie też za sobą dymisje wielu wysoko postawionych osób, których łatwościowość poczytywana jest w tym wypadku za winę.

Podczas gdy Europa zajęta jest swymi zagadnieniami i swymi sensacjami, Daleki Wschód rozpałił się znowu wojną japońsko-chińską. Pu-Yi zgodził się przyjąć koronę Mandżurji, a więc stało się tak, jak tego pragnęła Japonja. Wobec odprężenia japońsko-sowieckiego należy przypuszczać, że Japonja, mając wolną rękę, przeprowadzi swoje zamiary i zmusi Chiny do wypełnienia srogich żądań, zawartych w ultimatum. Ostatnie wiadomości brzmiały: japońskie siły zbrojne wtargnęły bez podania powodu do prowincji Hu-Pei na północny zachód od Pekinu... Sejsmograf polityczny znaczy więc znowu wstrząsy w Azji, oczywiście wojenne, które są niemniej przerażające od wstrząsów tektonicznych. H. N.

KREM-PUDER

„DERNIER CRI”

UŻYWAJĄ WYTWORNE, ELEGANCKIE PANIE



NAJPIĘKNIEJSZY
WIELBARWNY TYGODNIK

dla dziatwy

Moja Gazetka

wychodzi w soboty

Cena 15 groszy

łącznie z „DZIEŃ DOBRY”
numerem

TYDZIEŃ RADOŚCI I ROZRYWKI

ŚLUB P. KRYSZTYNY CHŁAPOWSKIEJ.

Dnia 16.I w kościele St. Louis des Invalides w Paryżu odbył się ślub córki ambasadorostwa Chłapowskich, panny Krystyny Chłapowskiej, z p. Maurice hr. de Bartillat.

Ślubu udzielił młodej parze nuncjusz apostolski Maglione. Uroczystość uświetniła obecność liczego duchowieństwa z kardynałem Verdier na czele, reprezentantów prezydenta republiki, szefa gabinetu wojkowego gen. Baconier, pani prezydentowej Lebrun, przedstawiciela ministra sprawa zagranicznych Paul Boncour'a dyrektora gabinetu Chasserat, całego korpusu dyplomatycznego, generała Weygand wraz z przedstawicielami rządu i wojskowości.

Liczenie reprezentowane były sfery towarzyskiej Paryża i kolonii polskiej.

Ogólną uwagę zwróciła grupa dziewcząt w ludowych strojach polskich, która przybyła na uroczystości ze sztandarem

Przy wyjściu z kościoła serdeczną owację urządzili nowożeńcom koledzy pana młodego, oficerowie francuscy oraz grupa przebywających w Paryżu oficerów polskich, którzy utworzyli szpaler ze skrzyżowanych szabel.

Przyjęcie w salonach ambasady polskiej zakończyło uroczystość.

Ceremonję ślubną na kilka dni przedtem poprzedziło wielkie przyjęcie w ambasadzie polskiej. Około dwóch tysięcy osób przewinęło się przez progi naszej ambasady.

Powszechną uwagę zwracały niezliczone prezenty ślubne, wystawione na pokaz w wielkiej sali balowej ambasady.

Od ambasadorostwa Chłapowskich młoda para otrzymała kolję brylantową, dwie broszki wysadzane brylantami, fu-



tro gronostajowe i astrachanowe, dwie wielkie tace srebrne i wielki serwis sreber stołowych i przyborów stołowych. Rodzice pana młodego ofiarowali kolję z pereł z broszką brylantową, półksiężyc z brylantów, biret z brylantów i szmaragdów, pierścień brylantowy, pierścień szafirowy z brylantami, srebrne lisy, stare koronki i liczną, kosztowną zastawę stołową.

Wśród ofiarodawców figuruje następnie minister spraw zagranicznych, Paul Boncour, który złożył w prezencie wielką wagę chińską, nuncjusz papieski Mgr. Maglione, który ofiarował różaniec ze złota i koralu, dalej mistrz Paderewski: trzy wielkie tace srebrne; marszałkowa Fochowa: talerz chiński; mistrz protokołu dyplomatycznego Pierre de Fouquieres:

stare ryciny kolorowe; prefekt policji paryskiej; oryginalną maskotkę ze złota i drogiego drzewa w formie kajdanek; prezes rady miejskiej Paryża Rene Fiquet: zastawę stołową w postaci dwóch stateczków z drzewa i cyzelowanej miedzi, ozdobionych herbami miasta Paryża i osadzonych na wielkiej, grubej tacy szklanej; ambasador Francji w Warszawie Jules Laroche: modernistyczny stół do salonu; markiza de Saint Paul ofiarowała złotą bransoletkę, podarowaną swego czasu jej rodzinie przez cesarza Napoleona III-go.

Te mnogie prezenty ślubne panny Krystyny Chłapowskiej, które zajmowały w całości wielką salę, rozłożone na stołach i rozwieszzone na ścianach, stanowią całą fortunę.

NIESPODZIANKI DLA PRENUMERATOREK „BLUSZCZU“

Zgodnie z naszym komunikatem o niespodziankach dla naszych Czytelniczek, wnoszących zgóry roczną i półroczną prenumeratę „Bluszczu“, rozlosowany został między prenumeratorkami rocznymi jeden bezpłatny udział w 10-dniowej wycieczce do Zakopanego.

W wyniku losowania udział w wycieczce padł na prenumeratę, wniesioną przez gimnazjum im. Cecylji Zyberk-Platerówny. Pozostałe Prenumeratorki, które wniosły roczną prenumeratę „Bluszczu“ do dnia 20 stycznia r. b. otrzymają upominki książkowe.

Z pośród prenumeratorek, które wniosły prenumeratę półroczną do dn. 16 stycznia r. b. udział w wycieczce week'end'owej do dworów podwarszawskich otrzymała pani Horkiewicz z Warszawy.

Osoby, które, jako premjum, otrzymały udział w wycieczkach, są proszone o porozumienie się co do terminów osobiście lub telefonicznie z działem turystycznym T. W. „Bluszcz“.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

CHRZEST NAJMŁODSZEJ HABSBU- RZANKI.

W Mödling pod Wiedniem odbył się chrzest córki arcyksięcia Antoniego Habsburga i Ileany rumuńskiej.

Na zdjęciu widzimy: arcyksiężnę Ileanę ze swoją świeżo ochrzczonej córeczką, obok niej arcyksiężnę Małgorzatę, arcyksięcia Antoniego Habsburga z synem Stefanem i posła Jugosławji Nastasjewicza.



anę ze swoją świeżo ochrzczonej córeczką, obok niej arcyksiężnę Małgorzatę, arcyksięcia Antoniego Habsburga z synem Stefanem i posła Jugosławji Nastasjewicza.

INWALIDZI I AKTORKI.

Dyrekcja londyńskiego teatru Kolizeum zaprosiła na jedno z przedstawień najstarszych inwalidów Londynu, dodając im, jako całodzienną asystę, zastęp młodych aktorek.

Na zdjęciu widzimy rozweselonych staruszków w towarzystwie swoich młodych opiekunek.

OCIEMNIAŁA ODZYSKUJE WZROK.

Ta młoda kobieta utraciła wzrok w dzieciństwie, po szkarlatynie. Obecnie, dzięki skomplikowanej operacji, przewidziała i po raz pierwszy w życiu zobaczyła swego męża i dzieci.

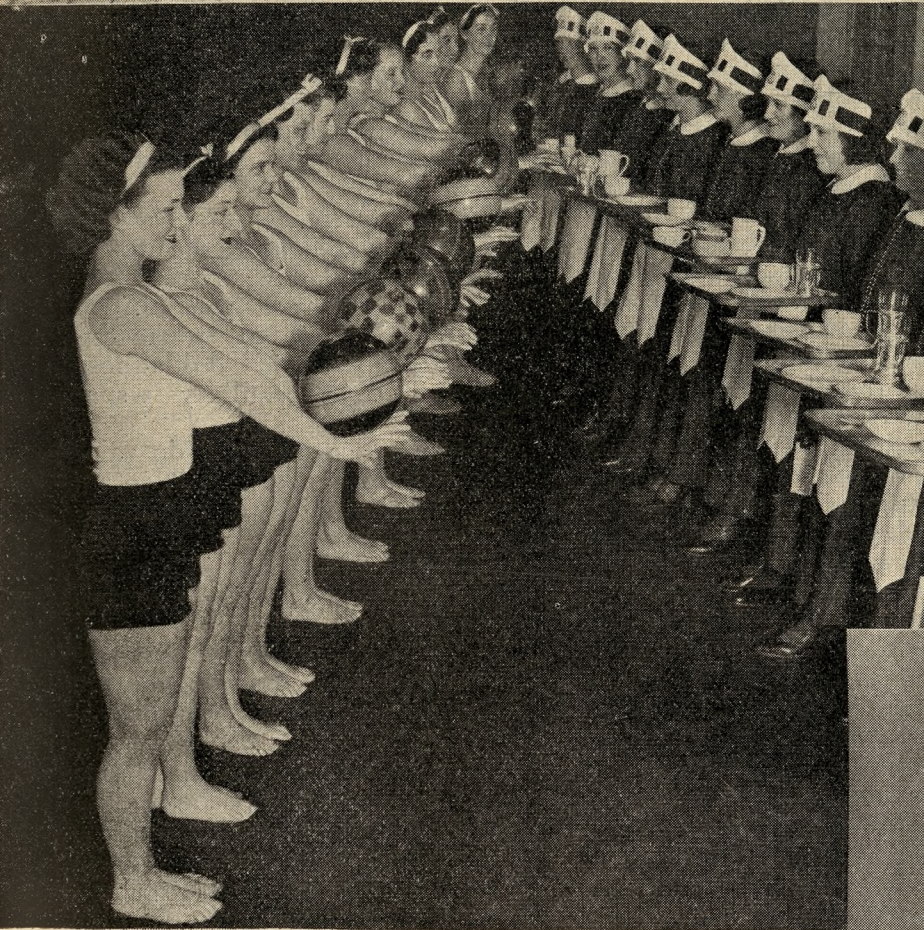
KRÓLOWA CAMPING'U W ARKANSAS.

Studenci uniwersytetu w Arkansas corocznie wybierają z pomiędzy koleżanek królową camping'u. W tym roku wybór padł na pannę Margaretę Frierson, której uroczą podobnie podajemy obok.



PIĘTNASTOLETNI PIĘKNOŚĆ.

Ta uroczą blondyneczkę, pokazującą w uśmiechu słodkie ząbki, to piętnastoletnia dziewczyna, świeżo nagrodzona na konkursie piękności w Los Angeles. Naturalnie zaraz po wyniku konkursu została zaangażowana do filmu.



MANIFESTACJA WDÓW I MATEK WOJENNYCH.

W Brukseli odbyła się wielka manifestacja wdów i matek wojennych, protestujących przeciw przywróceniu na poprzednio zajmowane stanowiska urzędników, usuniętych za nadużycia.

Na zdjęciu widzimy delegację wdów i matek w uroczystym pochodzie.

PRZESZKOLENIE KELNEREK LONDYŃSKICH.

Z herbaciarni londyńskich usunięto na przeciąg sześciu miesięcy połowę kelnerek, celem przeszkolenia ich według zasad, stosowanych w słynnych zakładach Lyons'a, o których pisaliśmy w „Bluszezu“ w roku zeszłym.

Na zdjęciu widzimy w dwóch szeregach kelnerki już przeszkolone i nowicjuszkę w kostjumach gimnastycznych, wprawiające się w utrzymanie w równowadze piłek, zastępujących tacę z zastawą.

KRÓLOWA WINA.

Z pomiędzy najpiękniejszych dziewcząt Kalifornji wybrano w Los Angeles „Królową wina“, którą widzimy na zdjęciu z kielichem w dłoni, uwieńczoną liśćmi winogrodu.



SIEW W INSPEKTACH

Przedewszystkiem trzeba sobie dokładnie uświadomić, jakie rośliny i w jakich ilościach chcemy wysiewać. Nasiona te trzeba sobie zawczasu sprowadzić z pewnego źródła, aby potem nie było zawodu.

Do siewu przystępujemy w dzień spokojny, w godzinach popołudniowych, t. zn. wtedy, gdy na dworze jest najcieplej.

Zdejmujemy maty, zwijamy je porządnie, odstawiamy okna. Po dokładnem wyrównaniu ziemi grabkami w całej skrzyni inspektowej, lekko a dokładnie i możliwie równo ugniatamy całą powierzchnię ziemi „ubijakiem”. Jest to deseczka prostokątna, gładko wyheblowana, mająca pośrodku rękojeść, za którą trzymamy deseczkę.

Ugniatanie ziemi jest bardzo ważne, sprawia bowiem, że nasienie, względnie jego korzonki, ściśle łączą się z cząsteczkami ziemi i pomagają do szybkiego rośnięcia.

Po wysiewie należy uklepywanie raz jeszcze powtórzyć.

Wielkim błędem, popełnianym bardzo często przez niedoświadczonych hodowców jest za gęsty wysiew; błąd ten mści się na nas podwójnie, raz pociąga za sobą zbędny wydatek na nasiona, które są naogół dość drogie, a drugi raz przez to, że przy za gęstym wysiewie otrzymujemy rozsady blade, wyciągnięte, które bardzo źle znoszą przesadzanie. Rozsada zaś musi być zdrowa i o liściach intensywnie zabarwionych, krępa, bo tylko taka dobrze się przyjmuje.

Siew zwykle skutecznia się rzutowo. Siejemy zwykle w ten sposób, że w lewej ręce trzymamy torbę z nasionami, o którą lekko uderzamy trzema palcami lewej ręki. Następnie oznaczamy dokładnie miejsce, gdzie dana roślina została wysiana i zatykamy etykietkę z nazwą nasienia.

Nasiona z rodziny kapuśnych przykrywamy piaskiem, przesianym przez sito, inne poprostu miłąką ziemią inspektową tak grubo, jak grube było nasionko. Przykrywamy zasiew, znów uklepujemy doskonale ubijakiem, aby ziemia oblepiła nasionka.

Po skończonym zasiewie nakładamy okna inspektowe, a na nie maty.

Okna wietrzymy starannie 2 razy na dzień w ciągu kilku minut, nie zdejmując jednakże mat dopóty, póki nasiona nie skielkują.

Ziemia przez cały czas musi być

dobrze wilgotna, gdyż nasionka potrzebują dużo wody do wydania kielków.

Podlewa się wodą ogrzaną i polewaczką, która ma założone bardzo drobne sitko. Czynność tę trzeba wykonywać bardzo ostrożnie, aby czasem nie splókać nasionek.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

SKÓRKI KRÓLICZE

Stanowczo futerko poczciwego kłapoucha zasługuje na pełną rehabilitację. Przecież lwia część rozmaitych futer, stanowiących cel westchnień pięknej pani, to nic innego tylko króliki, odpowiednio wyprawione, wystrzyżone i ufarbowane. Tymczasem ta sama skórka królicza w domu najczęściej się marnuje. Marcysia do wszystkiego, której skórki królicze i zajęcze są prywatną domeną, sprzedaje je handlarzowi za kilka groszy, a gdy go pod ręką brak, rzuca skórkę w ką, aby się doczekała przyjscia tego pana i po dwóch tygodniach odkrywa ją w czeluściach spiżarni w przeciwnie, będą od nich znacznie miast na śmietnik.

Tymczasem minimalnym nakładem pieniędzy, tylko włożywszy w to troszkę pracy, można sobie skórki samej wyprawić, a nie będą ustępowały wyprawionym fabrycznie, przeciwnie będą od nich znacznie trwalsze.

Z farbowaniem i stryżeniem domowym sprawa o wiele trudniejsza, ale można tę kwestję w ten sposób ominąć, że się hoduje, względnie nabywa króliki jednej rasy, możliwie jednobarwne, o takim kolorze futerka, jaki nam najwięcej odpowiada.

Do tego celu nadają się najlepiej króliki białe, gronostaje niebieskie, wiedeńskie lub hawana, ale zresztą jest to kwestja gustu, bo widziałam śliczne wyroby ze skórek króliczych o barwie zającowatej.

Zastosowanie takich skórek w domu może być bardzo różnorakie, zwłaszcza tam, gdzie są dzieci, wszelkiego rodzaju kołnierze, mankiety, kapturki, paltociki dla najmłodszych pociech, zamieniające je w śliczne białe kule, paltociki te kalkuluja się zwykle taniej i są praktyczniejsze od tak zwanych „niedźwiadków”. Starszym dziewczynkom można ze skórek króliczych robić kurteczki i t. p.

Ze skórek można zrobić sobie również śliczną narzutę na kozetkę, wygląda to bardzo bogato i suto, zwłaszcza, jeżeli się zrujnujemy na

jedwabną falbanę naokoło. Dla osób, którym marzną nogi, można zrobić bardzo ładne beciki na łóżko. Becik taki, oblamowany sutą falbaną, ślicznie się prezentuje.

Futerko królicze można również zużytkować, jako podbicie derki. Oddaje ona zwłaszcza tam usługi, gdzie się jeździ końmi, czy autem.

Jednem słowem obfitość skórek takich w domu pozwoliłaby pracowitym rękóm kobiecym wykonać wiele ładnych i praktycznych rzeczy.

Zwłaszcza dziś, gdy każdy kurczy, jak może, swoją finansową styczność ze światem zewnętrznym, sprawa rosnących „przemysłów domowych” zasługuje na specjalną uwagę, bo pozwala dochodzić do rozmaitych rzeczy minimalnym kosztem.

Domowe garbowanie skórek to rzecz łatwa, wymagająca dosłownie groszowych nakładów. Nie wymaga również żadnych specjalnych umiejętności ot, tylko trochę dobrych chęci i starania o dokładność roboty, a daje rezultaty wspaniałe.

Wszystko, co potrzeba do założenia „domowej garbarni”, to są: spory garnek gliniany, twardy pendzel lub stara szczotka od paznokci, trochę ałunu, oraz soli i dwa noże, jeden bardzo ostry, a drugi bardzo tępy.

Skórki, wyprawione gospodarskim sposobem, będą znacznie trwalsze od wyprawianych fabrycznie.

Jedynie dobre skórki, które warto wyprawiać, pochodzą ze sztuk bitych od połowy grudnia do połowy lutego. Zabitego królika obdziera się ze skóry zupełnie tak samo, jak zająca, rozpoczynając od tylnych nóg. Posługujemy się tu ostrym nożem, uważając, aby czasem skórki gdzie nie zaciąć. Skórka z głowy jest mało warta, to też lepiej ją odrzucić.

Najłatwiej wyprawiać skórki natychmiast po zabiciu królika. Jeżeli jednak nie chcemy się bawić wyprawianiem jednej sztuki, a wolimy poczekać, aż zbierze się ich kilka, wówczas doskonale można skórkę przetrzymać nawet kilka tygodni, tylko trzeba ją uprzednio wysuszyć. W tym celu wywraca się skórę ostrożnie tak, jak pończochę, aby sierść się znajdowała wewnątrz, potem naciąga się ją na specjalny pręt z galwanizowanego metalu i suszy w miejscu przewiewnym, zabezpieczonem od moli.

Jeżeli zaś garbujemy skórę świeżą, to przedewszystkiem rozci-

namy ją ostrym nożem przez sam środek brzucha, starając się ciąć możliwie prosto. Skórka krzywo rozcięta ma brzydki kształt i trudno potem coś z niej wykroić.

Rozciętą skórę przybijamy sierścią do wewnątrz do deski. Skórka przybijana musi być dobrze wyciągnięta i „naszpnowana”. Zamiast sobie prokurować specjalną deskę **specjalnie do tego celu**, co jednak zawsze za sobą pociąga pewien wydatek, można użyć do tego celu jakichś prostych drzwi, w które nie żal gwoździ wbijać, lub też wewnętrznej ściany drwalni, kurnika czy innego budynku gospodarskiego. Do przybijania używamy cieniutkich gwoździków z dużymi, płaskimi łebkami, t. zw. tapicerskich. Gwoździki wbijamy dosyć gęsto co 6 — 8 cm., ale staramy się je umieszczać możliwie najbliżej brzegu skórki.

Po rozpięciu skórki przystępujemy do podstawowej czynności garbowania, t. j. zeskrobania błon mięsnych, przysłysz do skóry; posługujemy się tu ostrym nożem, ale trzeba uważać, bo bardzo łatwo jest skórę przeciąć, przez co znacznie traci na wartości.

Po oczyszczeniu skóry z tych błon nacieramy ją przy pomocy pendzla, czy szczotki silnym roztworem soli i alunu.

Rozczyn przygotowujemy w następujący sposób: zagotowujemy w garnku litr wody i, gdy zawrze, wrzucamy tam 100 gr. alunu i 25 gr. soli kuchennej, mieszając, dopóki się nie rozpuści.

Czynność wcierania roztworu alunu i soli powtarzamy 2 razy dziennie przez 5 do 7 dni zależnie od płci i wieku królika, z którego skórka zostaje zdjęta.

Aby się sole nie zaczęły krystalizować, należy przed każdorazowym użyciem roztwór podgrzewać do tej temperatury, w której się sól rozpuści.

Po każdorazowym smarowaniu usuwamy wszelkie pozostałości błon tępym nożem, aż skórka nabierze białego koloru, co jest dowodem, że wszystkie błony zostały zdjęte i że wyprawianie dobiega końca.

Teraz zdejmujemy skórę z deski i pozostaje nam jedynie nadanie jej miękkości i połysku.

Aby skórę uczynić elastyczną i odebrać jej niemiłe szeleszczenie, „tłamsimy” ją przez 40 minut w rękach, t. zn., że wyciągamy ją na wszystkie strony, gniciemy, wykonujemy takie ruchy, jakbyśmy ją prały i t. p., na końcu zaś trzymamy ją przez 20 minut o kant stołu.

Zabieg ten wystarczy w zupełności, jeśli chodzi o skórki zwierząt młodych, gdy jednak była zdjęta



Skórka królika przytwierdzona do deseczki.

ze starego osobnika, zwłaszcza płci męskiej, trzeba się uciec jeszcze do jednego zabiegu.

Przed zdjęciem skóry z deski, po ukończeniu smarowania alunem, smarujemy skórę na palec grubo t. zw. zakwaską.

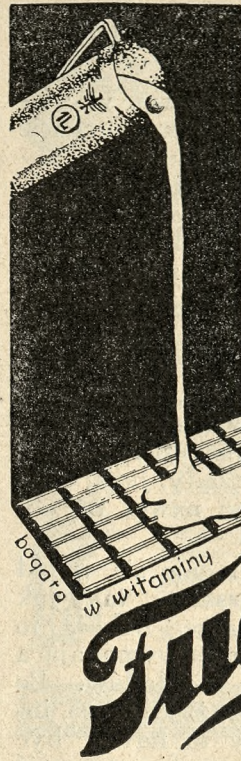
Zakwaskę robi się z żytniej mąki, którą rozrabia się wodą na gęstą papkę (tak jak ciasto na kluski kładzione) i trzyma się przez 24 godziny w ciepłym miejscu. Tym kwaśnym kłajstrem smaruje się skórę i zostawia w spokoju przez 36 godzin. Po upływie tego czasu papkę usuwamy najdokładniej, skórę zdejmujemy i postępujemy, jak wyżej.

Aby futerku nadać połysk, któryby je uczynił lśniącym, należy wetrzeć w futro pod włos sporo otrąb pszennych, następnie wytrzeć dokładnie, uderzając o jakiś róg, względnie wybić skórę giętym prętem. Gdy już dobrze wytrzespane, wyczesujemy futerko żelaznym grzebieniem, a potem miękką szczotką. Ostatnim zabiegiem jest natarcie skórki kredą lub talkiem, aby jej nadać zupełnie biały kolor. Na tem się kończy cała robota. Jeżeli garbujemy skórki poprzednio wysuszone, to nim przystąpimy do alunowania, trzeba je uczynić wilgotnymi. Posługujemy się tutaj wyżej opisaną zakwaską, którą na skórce trzymamy 48 godzin. Po upływie tego czasu kłajster usuwamy i ze skórą obchodzimy się, jak ze świeżą.



Skórka królika prawidłowo wysuszona na prętach.

MATKI! UWAGA!



Każda stugramowa tabliczka prawdziwej mlecznej czekolady

Fuchs

zawiera 1/3 litra świeżego niezbiernego mleka w skoncentrowanym stanie. Oryginalny smak śmietanki i kremu jest charakterystyczną cechą prawdziwej mlecznej czekolady

100 gr. w witaminie

Fuchs

Garbowanie to ma jedną złą stronę, a mianowicie że trochę niszczy ręce, to też należy się brać do niego w gumowych rękawiczkach, które za każdym razem po użyciu zmywamy w letniej wodzie.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

Niebezpieczeństwo za jedne 20 groszy

Jednym z najciekawszych zjawisk życia powojennego jest niezwykła popularność spożycia czekolady wśród najszerszych warstw ludności. Wpłynął na to cały szereg przyczyn, a w pierwszym rzędzie sama wojna, kiedy to tabliczka czekolady stanowiła nieraz cały „żelazny” zapas żywności w plecaku. Drugą przyczyną stało się niezwykle potaniecie czekolady w obecnych czasach w porównaniu z cenami przedwojennymi.

Zjawisko to należy powitać z radością, gdyż odżywcze wartości dobrej czekolady, w skład której wchodzi kakao, cukier, mleko i tłuszcz, są bardzo wielkie. Niestety, nie wszystko to, co się nazywa na rynku „czekoladą”, jest nią w istocie. Popyt na czekoladę wywołał powstanie szeregu drobnych i pokątnych producentów, zalewających rynek substancją w tabliczki formowaną i szumnie nazywaną „czekoladą”, która niestety jednak przypomina ten doskonały odżywczy przysmak jedynie... kolorem! Wykonana często w warunkach anty-sanitarnych i zawierająca wszystko oprócz tego, co winna zawierać prawdziwa czekolada, sprzedawana jest także „czekolada” w małych sklepikach, w koszykach i z wózków „za jedne 20 groszy” i... truje łapczywe na słodczyce dzieci i równie nieostrożnych „dorośli”, którzy nie potrafią odróżnić tych wręcz szkodliwych nieraz surogatów od prawdziwej czekolady.

Jest rzeczą bardzo wskazaną, żeby miarodajne czynniki wejrzały raz w te sprawy i położyły kres wyraźnemu nadużyciu zaufania konsumenta, którym jest nazywanie „czekoladą” tego, co nią nie jest.

LÓD NA LATO

Każda z nas wie, czym w najmniejszym nawet gospodarstwie jest lód w czasie upałów. Mieszkanicy Warszawy wprowadzą za bajorów stosunkowo ceny, ale mają go na zawołanie, mieszkańcy prowincji zaś są go bardzo często zupełnie pozbawione.

Istnieje wprowadzić wiele bardzo pomysłowych aparatów do wytwarzania sztucznego lodu, ale te, jak na naszą siłę kupną (nawet dla bogatych ludzi), są absolutnie za drogie, tak same przyrządy, jak i cena prądu elektrycznego nawet po obniżonej cenie.

Jednakże zaopatrzenie się w lód sposobem gospodarskim, tak jak dawniej robiły nasze babki, to rzecz niestruwna, nie wymagająca żadnych wielkich nakładów. Po miasteczkach, gdzie żyje sporo inteligencji, mogłoby to nawet być traktowane handlowo i stanowić pewien dochód.

Możeby warto było, aby panie z prowincji, rozporządzające odpowiednim miejscem, zapoznały się z tą sprawą, zbadały warunki ewentualnego zbytu. Lub też zebrały się w kilka domów i wspólnie zaopatrzyły się w lód. Wtedy koszt, rozłożony na kilka budżetów, nie zaciążyłby na nich tak bardzo.

Lodownie można budować w bardzo wielu typach, to też przypuszczalna suma, jaka na ten cel jest potrzebna, jest rzeczą niesłychanie względną. Istnieje wymieniona broszura inżyniera Nowakowskiego p. t. „Budowa tanich lodowni”. Przy wskazówkach tej książeczki i przy pomocy stolarza i murarza można sobie wybudować lodownię ze wszystkimi „szykanami”. Koszty takiej lodowni amortyzują się szybko, gdyż dzięki mniejszej stracie lodu wymiary jej mogą być mniejsze i ogranicza się również koszt zwózki lodu.

Niestety dzisiejsze warunki tak się kształtują, że trzeba poprzestać na coraz mniejszym, to też mimo rozmaitych plusów takich lodowni już „budowanych” trzeba się zadowolić gorszymi, ale wymagającymi minimalnych nakładów.

Najprostszym sposobem konserwowania lodu na lato będzie zwykłe kopcowanie go, tak samo, jak się kopcuje kartofle, czy inną okopowiznę.

Zakładając kopiec lodowy, trzeba mieć następujące rzeczy na uwadze:

1) Zupełne stuprocentowe zabezpieczenie lodu od topnienia nie jest

w praktyce osiągalne. Musi tu chodzić tylko o to, aby te straty zmniejszyć do minimum.

2) Aby zabezpieczyć lód od topnienia, trzeba nietylko utrudnić przenikanie ciepła i powietrza do niego, ale również zapewnić szybki odpływ wody z lochu, trzeba więc wybierać miejsce suche i nieco wzniesione i zabezpieczyć kopiec tak, aby woda deszczowa nie miała absolutnie tam dostępu.

3) Kopiec zawsze zakłada się w ten sposób, aby jego kierunek szedł z północy na południe i wejście było od strony północnej.

4) Trzeba uważać, żeby rowek, powstały z wydobywania ziemi, służącej do przykrywania kopca, znajdował się w pewnej odległości od niego, gdyż w przeciwnym razie ciepłe powietrze mogłoby łatwiej się do kopca dostawać, jak również i woda deszczowa.

5) Lód wydobywa się zawsze od strony północnej, albo przed, albo po zachodzie słońca. Otwór należy starannie opatrzyć.

6) W czasie upałów należy kopiec okrywać matami ze słomy, czy innym materiałem izolacyjnym.

Według zdania specjalistów najpraktyczniejszymi okazują się następujące wymiary kopca:

Szerokość do 5 m., wysokość warstwy lodowej do 4 m. Głębokość zależy od rodzaju gruntu do 1½ m. a długość zależy od ilości konserwowanego lodu.

Ziemia, w której zakładamy kopiec, musi być bezwzględnie lekka, piaszczysta, aby mogła pochłoniąć wodę z topniejącego lodu.

Pozatem kopiec winien być zbudowany w miejscu ocienionym drzewami, lub krzewami tak, aby promienie słoneczne nie miały bezpośredniego dostępu.

Wykopawszy dół odpowiedniej wielkości, przystępujemy do napełniania go lodem. W tym celu w dno rowu należy wpuścić rurę betonową o średnicy 30 cm., w której mogłaby się gromadzić woda, zanim zdąży wsiąknąć w ziemię. Na sam dół układa się na wysokość 50 cm. warstwę gałęzi, faszyny, słomy, torfu i t. p. Ściany zaś wyściela się grubą warstwą prostej słomy. W tak przygotowany dół układa się bloki lodu. Należy baczyć na to, aby możliwie nie było szpar między jednym kawałkiem a drugim. W celu otrzymania takich bloków nie należy wyrąbwać lodu, lecz wycinać go piłą. Piła musi być doskonale wyostrzona i mieć pod lodem uwiązany dość ciężki kamień.

Szczeliny między poszczególnymi blokami wypełnia się miałem lodo-

wym i zlewa obficie wodą. Czynność tę należy wykonywać w dzień mroźny, aby woda szybko zamarzała. W ten sposób utworzy się z lodu jedrolita bryła. Do wyjmowania wyrąbuje się za każdym razem tyle, ile potrzeba na doraźny użytek.

Po ułożeniu stosu odpowiedniej wielkości nakrywa się go warstwą słomy lub torfu, grubość musi wynosić przynajmniej 50 cm. i na to daje się warstwę 60 centymetrową ziemi. Ziemię tę należy ubijać, aby możliwie szczelnie do siebie przylegała. Wszelkie szczeliny, jakie mogą powstać skutkiem osiadania się lodu, należy natychmiast zasypywać. Zaraz z wiosny okładamy kopiec murawą. Należy zwracać baczoną uwagę, skąd się lód bierze i nie używać do konserwowania w żadnym wypadku lodu z brudnej wody, z płytkich stawów, rowów, glinianek i t. p., bo woda taka jest zatruta tysiącem chorobotwórczych bakterij i łatwo sobie ją zawlec do domu.

Tam, gdzie niema rzek, jezior, ani nawet głębokiego stawu, tam lód zastępujemy śniegiem i wodą. Zwozimy do lodowni czysty, biały śnieg, polewamy go wodą i ubijamy szeroka i dosyć ciężką drewnianą babą. Wody leje się tyle, aby śnieg był dobrze przesiąknięty. Czynność tę wykonujemy w dzień bardzo mroźny.

Lodowni takiej nie należy wypełniać w ciągu jednego dnia, ale przynajmniej w ciągu trzech dni, gdyż w ten sposób cała masa doskonale przemarznie i utworzy się jednolita skała lodowa, która będzie nawet trwałsza od zwykłych brył lodowych i lepiej zniesie upały.

Lód kopcowany w wyżej opisany sposób konserwuje się znakomicie i można go dotrzymać nawet do września. Wadą tego systemu jest to, że wyjmowanie jest kłopotliwe, ponownego zasypania otworu trzeba bardzo pilnować i że lód zanieczyszcza się ziemią. Zaletą i to decydującą w dzisiejszych czasach zaś jest to, że nakład kapitału jest tu minimalny.

Najodpowiedniejszą porą do kopcowania jest połowa lutego.

Marzenna Saryusz-Stokorska.

Dr. J. Świtalskiej.

Kursy Racionalnej Kosmetyki i Masażu

kształcą na zawodowe kosmetyczki, uprawniają do otwarcia gabinetu kosmetycznego, ilość słuchaczek ograniczona. Początek kursu w styczniu.

Informacje: Aleje Ujazdowskie 37, tel 8-92-77.

PSYCHOLOGJA POSIŁKÓW

Jest to fakt niezbity, że posiłek może być albo konieczną funkcją życiową, podtrzymującą siły organizmu i niczem więcej, albo też konieczną funkcją życiową, niepozbywioną uroku.

O ten urok właśnie walczyć zamierzam.

Proszę nie patrzeć na mnie „złem okiem”. Nie chodzi tutaj o dorzucanie ciężaru na przeciążone i tak baraki pań domu. Przeciwnie. Chodzi o zastrzyk uroku zaaplikowany najpowszedniej, a przez to samo nudnym nieraz i męczącym sprawom dnia powszedniego.

„Żywnie domowników” może być ujęte dwojako: jako mozolny obowiązek, który spełniamy jednak dzisiaj po większej części sumiennie i poprawnie, znając jego doniosłość; albo też jako pewnego rodzaju dzieło twórcze, któremu oddajemy się z zapalem, nieraz z wrodzonym talentem i prawdziwym zamiłowaniem.

Zamiłowanie to i zapal nietylko nie muszą, ale nie powinny szukać odpowiednika w utartem, ironicznym twierdzeniu, że, kierując nawą domu, trzeba „zatopić duszę w rosolu!”.

Ani przesiąknięte zapachem kuchennym ubranie, ani wieczne zaabsorbowanie sprawami kulinarnymi, brak innych zainteresowań i tematów do rozmowy nie są warunkami, bez których „dzieło twórcze” przestanie być doskonałym.

Wprost przeciwnie. Tym systemem obniżymy jego skalę, krzywdząc same siebie i nasze otoczenie.

Zastrzyk uroku polega właśnie na tem, aby nie zatonać w rosolu. Zostać na powierzchni życia, nie cofać się, iść naprzód w każdej dziedzinie, a przytem swój domowy obowiązek spełniać poprawnie, estetycznie i bez zaznaczonego na każdym kroku zaabsorbowania.

Poprzestańmy dzisiaj na umotywowaniu nagłówka. Weźmy go za punkt wyjścia naszej gawędy.

Psychologia posiłku zaczyna się kształtować już w chwili, kiedy bierzemy do ręki ołówek, mozoląc się nad zestawieniem jutrzejszego jadłospisu.

Jakże często polot traci lotność. Nielitościwe nożyce ograniczonego budżetu podcinają mu skrzydła.

Psychologia posiłku poczyna się pod znakiem zniechęcenia. W ślad za tą przymusową rezygnacją idzie napiętnowanie wszystkich czynności, związanych z okaleczonym jadłospisem, brakiem twórczej radości. Przystajemy „tworzyć”, stajemy się automatycznymi wykonawcami.

I tutaj zadajemy powtórny cios psychologii posiłku.

Prostu je się obiad, czy kolację, bo taki jest bieg rzeczy, a nie jeść ich to zburzyć porządek życia.

Ale o to właśnie chodzi, aby wygimnastykować się w twórczości specjalnej.

Nie trzeba koniecznie walczyć bażantami, polędwicą z garniturem, zimowemi nowaljami o wygórowanej cenie, aby tym wszechwładnym ołówkiem skreślić szkic dnia nacechowanego wykwintem, dnia o uśmiechniętej i pogodnej psychologii posiłków.

Nawet ze starej bułki, którą mamy w mieście w takiej pogardzie, można zrobić pozłociste, chrupiące toasty, chociaż nie jest ona bogatym materiałem twórczym!

Jakież to radosne zwycięstwo stworzyć tak nieomal z niczego coś pomysłowego, smacznego, wykwintego chociażby swoją wyszukaną prostotą, schlebając przytem gustom zgromadzonych dokoła stołu.

Tych, którzy nie umieliby ocenić naszego zwycięskiego wysiłku, którzy nie darzyliby wdzięcznością matek chrzestnych „psychologii posiłków”, jest niewiele.

Naogół nasi domownicy to wdzięczna publiczność. Jeżeli nawet siła ich odczuwania została zmatowana siłą przyzwyczajenia, wystarczy, aby im raz zabrakło naszej twórczości — wtedy docenią ją w pełni.

Zresztą, czyż, tworząc dobro, pogodę i piękno, trzeba koniecznie wyczekiwać czyjegoś uznania? Czy nie wystarczy ta największa nagroda: głębokie wewnętrzne zadowolenie, poczucie, że na tym odcinku życia wszystko jest zrobione doskonale?

Istoty „wyższe” będą skłonne ruszyć lekceważąco ramionami na przystosowanie takich superlatywów, jak: „dobro, pogoda i piękno” do miski, garnka, a nawet stołu jadalnego! Ale niech spróbują przenieść się z wygodnej, często zmienianej jadłodajni, albo z bezdusznego, niedbale prowadzonego domu do tego właśnie stołu jadalnego, którego psychologję kształtują czyjeś rozumne i twórcze ręce, a „wyższość” ich, zlepiona z dyktowanej koniecznością życiową abnegacji, tej namiastki instynktu samozachowawczego, odpadnie wkrótce, bo połkną dobrotliwego bakcyła uroku dobrze zbudowanej i starannie kultywowanej psychologii posiłku.

Wanda Dobrzańska.

DO PAŃ PRENUMERATOREK.
Na wszystkie zapytania, dotyczące Domu i Gospodarstwa, odpowiadać będziemy na szpaltach „Bluszczu” w odnośnym dziale. Listy prosimy kierować do Redakcji „Bluszczu” z zaznaczeniem „Dom i Gospodarstwo”.

Cheermy Emulsji Scotta!



Jak rzeźko
i wesolo wyglą-
dają te dzieci!

Swe kwitnące zdrowie zawdzię-
czają Emulsji Tranowej Scotta!

Dla wielu dzieci zima jest okresem ciągłych niedomagań, a często najłżejsze nawet przeziębienie wywołuje u nich poważne schorzenia. Są jednak dzieci, które nie chorują w ciągu zimy ani razu. Piją one bowiem codziennie Emulsję Tranową Scotta, która wzmacnia, krzepi i uodparnia organizm. Emulsja Scotta jest lekkostrawna i przyjemna w smaku.



Kto więc dba o zdrowie swych dzieci, winien im dawać regularnie

Emulsję Tranową Scotta!

Do nabycia już od zł. 2.—

JADŁOSPIS TYGODNIOWY

NIEDZIELA.

Obiad.

Zupa pomidorowa czysta w filiżankach na drobnych od kur.

Paluszki kruche z gotowanych kartofli.

Risotto z groszkiem.

Kury pieczone — sałata zielona (roszponka), borówki.

Torcik napoleoński.

Kolacja.

Sałatka z jarzynek i pozostałej od obiadu kury.

Sos oszczędny majonezowy.

Tartinki z chleba razowego z kremem z sera.

Toasty z długiej bułeczki — masło.

Torcik z obiaću — herbata.

PONIEDZIAŁEK.

Obiad.

Zupa jarzynowa na buljonie z kluseczkami z naleśników.

Sznyce cielece naturalne — purée z kartofli — sałata z czerwonej kapusty z jabłkami.

Budyń czekoladowy.

Kolacja.

Jaja na grzankach w sosie pomidorowym.

Sałatka z rydzów kiszonych.

Grzanki z masłem — herbata.

WTOREK.

Obiad.

Barszcz czysty z uszkami.

Sztuka mięsa — sos rumiany cebulowy — ogórki z konserwy — kartofle całe z wody.

Marchewka z groszkiem, garniowana kuchenką półksiężycami.

Kolacja.

Makaron włoski zapiekany pod beszamelem.

Kompot z jabłek i szeptalów.

Pieczyno — herbata.

ŚRODA.

Obiad.

Zupa ogórkowa czysta z kartoflami w kostkę (na ciepłym rosolu).

Potrąwa z cielęciny, sos śmietanowy — ryż na sypko.

Kisiel żórawinowy.

Kolacja.

Kapusta włoska (gotowana w mleku), kraszona masłem z bułeczką.

Tartinki z chleba razowego i grzanki z bułki, do nich masło rozcierane z ostrym serem.

Herbata.

CZWARTEK.

Obiad.

Zupa purée z kartofli na kostkach baranich.

Pieczeń barania — kapusta z główki — kartofle.

Biszkopt z sokiem, albo konfiturami.

Kolacja.

Budyń z kartofli — masło topione, albo sos kaparowy.

Salatka z surowej kapusty włoskiej.

Pieczyno — masło — herbata.

PIĄTEK.

Obiad.

Zupa grzybowa czysta z łazankami.

Kartofle zapiekane ze śledziem i jajami na twardo.

Bulwy i brukselka z masłem i bułeczką.

Grzanki z konfiturami.

Kolacja.

Omlęt naturalny z groszkiem, albo z szalotkami.

Salatka z jarzyn (surówka) — kartofle z wody z masłem i siekaną zieleninką.

Pieczyno, ser, marmolada — herbata.

SOBOTA.

Obiad.

Zupa szczawiowa na smaku z jarzyn — kartofle tłuczone.

Wątróbka smażona — salatka z kiszzonej kapusty.

Pączki parzone (ptysie) z sokiem z czarnych wisien, albo konfiturami.

Kolacja.

Kasza czarna gryczana, wypiekana z pozostałą od obiadu wątróbką.

Salatka z czerwonej kapusty z jabłkami.

Pieczyno — masło — herbata.

wane jarzynki, pozostawiając kapustę włoską, która nie potrzebuje się dusić dłużej, niż 20 minut. Podlać jarzynki kilkoma łyżkami buljonu (rozpuścić dwie kostki buljonu Maggi w kilku łyżkach wody), lekko posolić, dusić mniej więcej pół godziny na wolnym ogniu, dodając 2 listki bobkowe, kilka ziaren ziela i pieprzu. Kapustę włoską dodać na 15 — 20 minut przed zdjęciem jarzyn z ognia.

Ugotować smak na włoszczyźnie, doprawić do smaku buljonem. Na pół godziny przed wydaniem zupy na stół włożyć jarzynki do smaku, raz zagotować. Odstawić. Listki bobkowe, pieprz i ziele angielskie odrzucić. Na wydaniu włożyć do wazy pół łyżki świeżego masła deserowego, trochę siekanej zieleninki i cieniutko krajane naleśniki (krajając tak, jak makaron). Wylać na te dodatki wrzącą zupę, wymieszać.

SZNYCLE CIEŁĘCE NATURALNE.

Pokrajac z pięknej, białej sznycelki równej wielkości i kształtu sznycel, na palec grube. Rozbić lekko, pozostawić je tak na przeciąg godziny. Przed smażeniem posolić każdy sznycel z obydwóch stron, oprószyć cienko mąką pszenną kruszącą i smażyć natychmiast na obfitem, dobrze rozgrzanym masle. Podawać wprost z patelni.

SALATA Z CZERWONEJ KAPUSTY Z JABŁKAMI.

Posatkować bardzo drobno czerwoną kapustę, rzucić na wrzątek, raz zagotować, odsączyć z wody, rozsypać jedną warstwą na dużym półmisku i wystudzić.

Dwie łyżki oliwy, sok z jednej dużej, albo dwóch mniejszych cytryn, rozpuszczoną w możliwie najmniejszej ilości wody kostkę buljonu, dwie łyżeczki cukru-pudru, soli do smaku wymieszać doskonale. Polać tą zaprawą kapustę, wymieszać, dodając dwa jabłka winkowate, pokrajane w drobną kosteczkę. Złożyć salatkę na głęboką miskę, przekroić na cztery części cebulę cukrową i włożyć ją wgłąb salaty w równych odstępach. Postawić w chłodzie, co najmniej na godzinę. Wydając na stół, wyjąć cebulę, wymieszać doskonale salatkę, przełożyć na czystą salaterkę.

NAJBŁYSKOTLIWSZY,
WIELOBARWNY TYGODNIK
HUMORU, SATYRY, DOWCIPU
i KARYKATURY

„CYRULIK
WARSZAWSKI“

zamieszcza w każdym numerze
wiersze, humoreski, plotki polityczne,
„kawały“, powiedzonka i kilkadziesiąt
ilustracji.

Cena numeru 50 groszy.

KRUCHE PALUSZKI Z GOTOWANYCH KARTOFLI.

Proporcja: Szklanka przefasowanych przez sito gotowanych kartofli, szklanka masła, szklanka pszennej mąki, soli do smaku.

Zagnieść ciasto z powyżej podanej proporcji. Formować niezbyt cienkie paluszki, długości dziesięciu centymetrów. Ułożyć na blasze cieniutko masłem wysmarowanej. Piec w ostatniej chwili przed wydaniem na stół, na złoty kolor. Podawać wprost z pieca, układając na okrągłym półmisku, wysłanym serwetą.

PÓŁKSIĘŻYCE KRUCHE DO GARNIROWANIA JARZYNEK.

Proporcja: 15 dkg. mąki pszennej, 10 dkg. masła deserowego, 3 żółtka, 2 łyżeczki od herbaty cukru-pudru, trochę soli.

Zagnieść ciasto z powyższej proporcji, pozostawić go w chłodzie na godzinę. Wątkować niezbyt cienko, wykrawać foremką średniej wielkości półksiężyce. Gdy się ciasto dobrze w piecu rozgrzeje, wyjąć blachę i bardzo szybko posmarować ciastka jajkiem, rozbitym z odrobiną zimnej wody. Natychmiast wsunąć ponownie do pieca. Piec na jasno-żółty kolor.

Blachy do ciasta kruchego masłem smarować nie trzeba. Piec powinien być dobrze gorący, aby się ciastka nie smażyły, a piekły, inaczej masło się z ciasta wytapia.

KREM Z SERA.

Wygrzać miskę glinianą, niepolewaną, nad parą. Włożyć 15 dkg. masła deserowego, ucierać go na śmietanie, dodając stopniowo, po łyżeczce, 10 dkg. tartego sera zielonego, ziołowego, szwajcarskiego, parmezanu (jaki jest w domu). Ucierać ser z masłem tak długo, dopóki nie wytworzy się pulchny, lekki krem serowo-maślany.

NATURALNY SER KREMOWY.

Dowolną ilość wyborowej, młodej, bardzo gęstej śmietany wlać w serwetę, albo grubą, płócienną ściereczkę. Związać mocno sznurkiem, zawinąć powtórnie w kawałek płótna. W skrzynce, wypełnionej ziemią, wybrać wgłębienie dosyć głębokie, ułożyć w niem woreczek ze śmietaną, przysypać go grubą warstwą ziemi, ziemię ugnieść z wierzchu doskonale. Pozostawić tak na przeciąg 24 godzin, po upływie których wyjąć, rozwinąć ostrożnie z pierwszego, powalnego ziemią gałganka, rozwiązać serwetę i wyrzucić na talerz okrągły, delikatny serek kremowy, który się ze śmietany uformuje. Takie sery kremowe, znane na wsi pod nazwą „nieboszczyków“, są wytworne w smaku, nie dadzą się jednak długo przechowywać, to też trzeba je przyrządzać w niewielkich ilościach. W okresie, kiedy ziemia jest sucha i nie zmarznięta, to znaczy: na wiosnę, w lecie, jesienią zakupuje się śmietaną w ogrodzie, układając dołek liśćmi chrzanowemi.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

ZUPA JARZYNOWA.

Uzatkować w równe, drobnutkie pałeczki: jedną dużą marchew, jedną pietruszkę, jedną dużą cebulę cukrową, pół niewielkiej główki kapusty włoskiej.

Wypłókać, osączyć. Włożyć do rondelka łyżkę masła, roztopić, wrzucić szatko-

KONGRES GOSPODARCZEGO KSZTAŁCENIA KOBIET.

Po 7-letniej przerwie odbędzie się w tym roku od 22 — 26 sierpnia V-ty kongres gospodarczego kształcenia kobiet, zwołany przez Międzynarodową Federację Gospodarczego Kształcenia. Siedzibą Kongresu będzie Berlin, gdzie utworzył się Komitet Organizacyjny, do którego powołane zostały najwybitniejsze kierowniczki postępu gospodarczego z pp. Rosą Peter, Klarą Mende, Käthe Delius i Küssner-Gerhardt na czele.

Wobec przeladowania poprzednich kongresów referatami sprawozdawczymi, ustalony został program, przewidujący wyłącznie sprawozdania państwa, w którym kongres się odbywa i to tylko za czas, który upłynął od ostatniego kongresu. Kongres ten miał miejsce w Rzymie w 1927 r. i przyniósł Polsce Złoty Medal za całokształt ekspozycji, obrazujących działalność naszych szkół gospodarstwa i organizacji społecznych, pracujących w tym kierunku.

Zagadnienie I. a) Postępy w gospodarstwie kształceniu kobiet od czasu Kongresu Rzymskiego.

b) Ewolucja w niemieckiej nauce o gospodarstwie.

c) Zwiedzanie instytucji, ilustrujących powyższy program.

Zagadnienie II. Dane naukowe, ich przystosowanie i wprowadzenie w życie na wszystkich stopniach nauki gospodarstwa.

a) W szkołach powszechnych niższego stopnia (dzieci do 12 lat).

b) W szkołach powszechnych wyższego stopnia

c) W szkołach średnich.

d) W seminarjach gospodarstwa.

e) W szkołach zawodowych.

f) W seminarjach nauczycielskich.

g) Na kursach dla dorosłych.

Każdy stopień nauczania winien być opracowany oddzielnie. Na zakończenie demonstracje, przystosowania nauki do

praktyki gospodarczej na różnym poziomie nauczania.

Zagadnienie III. Naukowa organizacja pracy gospodarskiej, jako przedmiot szczególnej wagi dla kobiet. Racjonalizacja zajęć gospodarskich. Demonstracje praktyczne w związku z tym tematem.

Zagadnienie IV. Zawodowe kształcenie gospodarze.

a) Szkolenie zawodowe służby domowej.

b) Szkolenie zawodowe zarządczyń domowych.

c) Szkolenie kierowniczek gospodarstw w szpitalach, klinikach, internatach i t. p.

Zagadnienie V a) Przygotowanie personelu nauczycielskiego do powyższego szkolenia.

Prace przygotowawcze do udziału Polski w powyższym kongresie prowadzone są przez Radę Naczelną Gospodarczego Wykształcenia Kobiet, będącą członkiem Międzynarodowej Federacji Gospodarczego Kształcenia.

Sekretariat Rady Nacz. G.W.K. przyjmuje zgłoszenia referatów, które powinny być dostarczone w 5-ch egzemplarzach pisma maszynowego w języku francuskim, do dn. 10 lutego r. b. Po uzgodnieniu treści referatów, te, które będą zakwalifikowane przez Komitet organizujący udział Polski w kongresie, przesłane będą do siedziby Federacji Międzynarodowej w Berlinie.

Miejsce dla ekspozycji, mających ilustrować referaty, zostało w Berlinie zamówione. Referaty na tematy 2 b. i g. oraz 5 są już opracowywane.

Oplata za udział w kongresie wyniesie 20 marek niem. Szkoły, organizacje i osoby pojedyncze, interesujące się sprawą kongresu, mogą otrzymać informacje codziennie (prócz niedziel i świąt i niedziel) od godz. 12 — 2-jej od Sekretarki RNGWK. w lokalu Stow. Zjedn. Ziemiaków przy ul. Marszałkowskiej 149 m. 6.

KURS SPOŁECZNY, POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM RODZINY.

Katolicki Związek Polek Archidiecezji Warszawskiej, pragnąc zwrócić uwagę społeczeństwa na zagadnienia moralne, ekonomiczne, prawne i społeczne, związane z życiem rodziny, jak też na zagadnienie opieki społecznej nad matką i dzieckiem, organizuje kurs, poświęcony tym sprawom.

Kurs rozpoczął się 19. I. b. r., a odbywać się będzie dwa razy tygodniowo w poniedziałki i piątki od godz. 6-jej do 8-jej p.p. w sali K.Z.P. Krakowskie Przedmieście 36.

Pierwsza część kursu, sześć wieczorów, poświęcona jest zagadnieniom ogólnym, druga część praktyczna, omawiająca ustawodawstwo Opieki Społecznej i technikę opiekuńczą, rozpocznie się 16.II.

Udział w kursie — 50 gr. za wykład, lub 2 zł. 50 gr. za sześć dni wykładowych.

CZY WIECIE, ŻE...

...płótna bawełnianego i perkalu w okresie 9 miesięcy r. 1935 przywieźliśmy około 3.655 q za 4.365.000 złotych, przyczem przywóz cieńszych płócien bawełnianych i perkali wykazuje nawet wzrost w stosunku do r. 1932,

...w pierwszych 9 miesiącach 1935 r. przywieźliśmy tkanin wełnianych w ilości 5.049 q za 1.131.000 złotych.

Zwiększył się przytem przywóz tkanin cięższych: w r. 1932 przywieźliśmy 108 q za 354.000 zł., w roku zaś 1935 — 127 q za 590.000 zł.

SPROSTOWANIE.

Wskutek błędnej informacji zamieszczono w artykule p. t. „Dom na Pradze” wiadomość, iż Władysław Danilowski był stryjem Gustawa i zginął w powstaniu.

Niniejszem prostujemy tę wiadomość, gdyż Władysław Danilowski był ojcem Gustawa Danilowskiego i umarł na wygnaniu na Syberji.

KLISZE WYKONANO W ZAKŁ. FOTO-CHEMIGRAFICZNYCH TOW. WYD. „BLUSZCZ”.

TREŚĆ NUMERU: Nie umiem się rozpychać — *Janina Strzelecka*. Jak być szczęśliwym w małżeństwie? — *Magdalena Samozwaniec*. Poezje: „Pożegnanie” i „Egoiści” — *Jadwiga Korczakowska*. Kochanek z pomnika — *Zofja Reutt-Wilkowska*. Marchesina — *Karolina Bielańska*. W powrocie do życia — *Wanda Grabińska-Woytowiczowa*. Wincenty Drabik — *Stefania Podhorska-Okolów*. Kobieta — lekarzem dzikich bestyj — *Jadwiga Zielenkówna*. Wychowanie i szkoła: Korzenie zła — *Wanda Borudzka*. My, nowe hasła i nasze dzieci — *Zofja Sikorska-Bogusławska*. Siostry — *M. Benisławska*. Słoneczna szkoła. Nasz lekarz: Higijena kobiety — *Dr. med. Rygier-Cekalska*. Czy można lekceważyć katar — *Dr. Roberts*. Pielęgnowanie skóry w zimie — *Dr. med. Zofja Rostkowska*. Waleczmy ze starością. Z teatrów — *S.P.O.* Ze sportu. Ś. p. Helena Paderewska. Z ubiegłego tygodnia — *H. N.* Kobieta w świetle i w domu. Ogrodnictwo i hodowla: Siew w inspektach — *Marzenna Saryusz-Stokowska*. Skórki królicze — *Marzenna Saryusz-Stokowska*. Dom i gospodarstwo: Lód na lato — *Marzenna Saryusz-Stokowska*. Psychologja posilków — *Wanda Dobrzańska*. Jadłospis tygodniowy. Przepisy gospodarskie — *Melba*.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie — 4.50 zł., kwartalnie — 13.50 zł., rocznie — 54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87 i Pl. Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

W y d a w c a: Tow. Wydawnicze „Bluszcza”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW* (naczelnia) i *MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW*.

Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*.

Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*.

Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcza”, Warszawa, Solec 87.

Modna Pani

musi znać roboty
szydełkowe
i na drutach

więc powinna nabyć książki p. t.

100 ściegów szydełkowych i ich zastosowanie i Roboty na drutach

Część I-sza i II-ga

Cena każdej książki 1 zł., z przesyłką pocztową 1 zł. 30 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” — Warszawa, plac Zamkowy 9 i Solec 87.
Konto P.K.O. 13.555.

KSIĄŻKA
WYDAWNICTWA

p. t.

Cena 1 zł.
Z przes. poczt. 1 zł. 30 gr

Bielizna Dziecięca

„Życie
Praktyczne”

zawiera wskazówki, jak samej przygotować bieliznę dla niemowląt i dzieci do lat 7-miu. 63 rysunki w tekście i 2 tablice kroju.

Wysyła Tow. Wydawnicze
„BLUSZCZ” — Warszawa
Plac Zamkowy 9 i Solec 87.

Nie wszystkiego musimy się wyrzec

z chwilą możliwości zaradzenia sobie
w dziedzinie rękodzielnictwa.

„JA TO ZROBIĘ”

pismo, poświęcone robotom ręcznym, daje bogaty materiał i uczy dokładnie haftu, koronki, robót z wełny, bielizniarstwa, drobiazgów ze skóry, praktycznie wychowuje, rozwija zainteresowanie do rzeczy pięknych i użytecznych. Miesięcznie tylko 1 zł. w prenumeracie z dodatkiem tablicy robót.

EGZEMPLARZE OKAZOWE WYSYŁA ADMINISTRACJA PO
OTRZYMANIU ZNACZKA POCZTOWEGO ZA 30 GROSZY.

**Redakcja i Administracja: Warszawa,
plac Zamkowy 9 i Solec 87.**

Egzemplarze pojedyncze w cenie 50 gr. są do nabycia we wszystkich kioskach z czasopismami. **Konto P.K.O. Nr. 15.880**